Nr. 7 CENA 30 GR. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA Królewska 29A, tel. 301-62 skrz. poczt. 113 KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

Dziś w numerze

Bergmann, Oppenheimer, Kleinbaum, Ben - Lewi, Halpern, Feuchtwanger, Bradstaetter, Wanda Kragen, Waserman, Ernicz Homańska, Rumelt, Leser, Glizer, Strakun, Baumberg

21 marca 1937 WARSZAWA 9 Nissan 5697

Dr. M. KLEINBAUM

SPRZECZNOŚCI POZORNE

Myśli politycznej, którą reprezentuje „Ster", zarzuca się od czasu do czasu dualizm: walka o przebudowę życia państwowego Polski, o prawo i sprawiedliwość dla ludności żydowskiej tu w Polsce, a równocześnie walka o żydowską Palestynę, o rozwarcie jej bram dla masowej imigracji? Stronnictwu politycznemu, któremu „Ster" służy, zarzuca się od czasu do czasu, że jego syjonistyczny charakter kłóci się z udziałem w walce żydostwa polskiego o poprawę bytu tu w kraju ,że pozostaje z nim w sprzeczności, że go nawet wyłącza.

Zarzut pochodzi nie tylko ze strony dogorywającego obozu asymilacji, usiłującego się ratować od niechybnej zagłady przybieraniem coraz to nowych neo-asymilatorskich form i etykiet. Toby było jeszcze zrozumiałe, bo przecież ci ludzie nadal nie uznają narodowego charakteru żydostwa; skoro więc poczuwają się do narodowości polskiej, nie mogą tym samym podzielać ani uznawać dążenia do odbudowy ojczyzny dla — nie istniejącego ich zdaniem — narodu żydowskiego. Jak się rzekło, jest to stanowisko zrozumiałe, — tyle tylko, że pozbawione oddźwięku w masach i nikogo nie obchodzące.

Ale już żadną logiką wytułmaczyć się nie da stanowisko „Bundu". Albowiem „Bund" stoi na gruncie narodowej odrębności mas żydowskich; uznaje, że Żydzi stanowią naród, jedyny wśród narodów cywilizowanych naród bez ziemi, — i tego wyjątkowego, wysoce i bezspornie anormalnego zjawiska „Bund" nie chce usunąć. W ustroju socjalistycznym — powiada — możliwe będzie odrębne życie narodowe i bez własnego terytorium i bez organizacji państwowej. Prognoza ta pomija, oczywiście, obiektywne warunki asymilacyjne, które w takim socjalistycznym in spe ustroju doprowadzić muszą do zasymilowania mniejszości narodowej rozproszonej, pozbawionej ośrodka terytorialnego, metropolii. Prognoza ta pomija, oczywiście, jedyne dotychczas w dziejach doświadczenie — Rosję Sowiecką, gdzie asymilacja młodego pokolenia żydowskiego czyni zatrważające z narodowego punktu widzenia postępy. Zresztą i tam — dla innych nb. powodów — także uznano konieczność założenia „republiki żydowskiej" na Dalekim Wschodzie.

Państwo, własne terytorium, jest jedyną formą trwałego i wolnego bytowania każdego narodu — zasadę tę wyznają wszystkie współczesne partie socjalistyczne, prócz... „Bundu". Zasadę tę, rzuconą w masy żydowskie przed 40-tu laty przez syjonizm polityczny Teodora Herzla, przyjęły już dziś wszystkie odłamy społeczeństwa żydowskiego ,prócz... „Bundu". Nie wszystkie te odłamy stoją na platformie syjonizmu i Palestyny, ale wszystkie przyjmują postulat koncentracji terytorialnej. Był czas, gdy klerykalnie ortodoksyjna „Aguda" namiętnie zwalczała syjonizm, upatrując w dziele odbudowy Palestyny akt bluźnierstwa przeciw Bogu, który wszak przyrzekł był wyzwolić ziemię świętą przez Mesjasza, — ale praktyczne zdobycze syjonizmu lat ostatnich spowodowały, że „Aguda", powołując się znów na inne przykazania boskie, skwapliwie korzysta ze wszystkich świadczeń Agencji żydowskiej... Liczne koła dawnego obozu asymilatorskiego przyjmują dziś udział — nie jeszcze w samym ruchu syjonistycznym — ale już w jego konstruktywnej akcji gospodarczej. Równolegle do syjonizmu powstał ostatnio kierunek neo-terytorialistyczny, do którego oceny zasadniczej jeszcze powrócimy, ale którego pierwszym i głównym założeniem jest budowa kraju żydowskiego. Komuniści, którzy przed rewolucją rosyjską, także stali na stanowisku automatycznego rozwiązania kwestii żydowskiej przez socjalizm, zetknąwszy się z rzeczywistością, musieli podjąć słynny eksperyment z żydowskim rejonem autonomicznym w Biro-Bidżanie. Nawet w szeregach „Bundu" nastąpiła rewizja poglądów na kwestię żydowską: najsilniejsza organizacja bundowska, organizacja amerykańska, zarzuciła anty-palestyńską tradycję, wykazując w ostatnich latach dużo sympatii i pomocy dla prac konkretnych syjonizmu. Zamieszczony ostatniej niedzieli m. in. w „Robotniku" wywiad z przywódcą robotników nowojorskich, Schlossbergem, zawierający mocne akcenty syjonistyczne, a cały utrzymany w duchu pro-palestyńskim, jest charakterystyczny dla nastrojów zorganizowanego proletariatu żydowskiego w Ameryce. Konsekwentnie i uporczywie przy negowaniu idei stworzenia ojczyzny dla narodu żydowskiego trwa dotąd tylko „Bund" w Polsce. Spowodowało to w tej dziedzinie izolację „Bundu" nie tylko w świecie żydowskim, ale i w świecie socjalistycznym, który niemal powszechnie odnosi się do syjonizmu z żywą sympatią.

„Bundowi" wystarcza ideał równouprawnionych mniejszości żydowskich, rozproszonych po państwach socjalistycznych. Myśl zerwania z pozycją mniejszości wiecznie i wszędzie, ideał większości żydowskiej na własnej ziemi, ideał rozstrzygania narodu o własnym losie, ustroju i kierunku rozwojowym, słowem ideał żydowskiej samodzielności narodowo-politycznej „Bundowi" jest obcy. —

Gdyby przy tym „Bund" w walce ze syjonizmem wysuwał wyłącznie argumenty, tłumaczące dlaczego żydowskiemu narodowi nie potrzeba ojczyzny, toby był w porządku. „Bund" czyni to jednak b. rzadko, prawie nigdy, gdyż — jak widać — orientuje się doskonale w powszechnych niemal palestyno-centrycznych nastrojach mas żydowskich. Zamiast zwalczać samo dążenie, „Bund" woli kompromitować drogę, prowadzącą ku urzeczywistnieniu tego dążenia. Nic zaś łatwiejszego, jak uchwycić się ostatnich tragicznych wydarzeń palestyńskich. Od dnia zakończenia strajku arabskiego, a więc od daty względnego spokoju w Palestynie, padło aż 20 ofiar terroru arabskiego. Zbrojne powstanie nacjonalistów arabskich, ich terror indywidualny, groźba powtórzenia akcji powstańczej (zob. w dzisiejszym numerze „Steru" korespondencję z Tel Awiwu) są niewątpliwie wielką przeszkodą na drodze realizacji syjonizmu. Ale od kiedy to przeszkody w urzeczywistnianiu przemawiają przeciw s ł u s z n o ś c i idei? Trudności rzeczywistości palestyńskiej nie są nawet dowodem „iluzoryczności" syjonizmu, jak to już od lat nie przestaje proklamować „Bund". Nie wiemy jeszcze dziś, jak wypadnie orzeczenie brytyjskiej Komisji Królewskiej, ale nie ulega kwestii, że w najgorszym nawet razie, jeśli nawet ulegnie naciskowi terroru arabskiego, to też nie przekreśli ani zasadniczych praw żydowskich do Palestyny, ani praktycznych możliwości kontynuowania akcji kolonizacyjnej syjonizmu ,lecz najwyżej możliwości te ograniczy i uszczupli. A przecież jeszcze c o ś przeciwstawić naciskowi arabskiemu potrafimy; przecież mamy po swojej stronie opinię publiczną Anglii i nie małe sympatie międzynarodowych czynników politycznych (w Lidze Narodów, w Stanach Zjednoczonych); przecież orzeczenie Royal Commission jeszcze nie wypadło dla nas niepomyślnie; przecież wreszcie Komisja ta nie jest sądem ostatecznym ani nad aktualnym losem Palestyny, ani tym bardziej nad dziejowym związkiem między wiecznym narodem a jego utraconą ziemią — nad związkiem, który przetrwał niewzruszenie wszystkie kataklizmy i przemiany dwudziestu wieków! Sytuacja jest zatem ciężka, ale daleka od rzekomego „ostatecznego bankructwa" syjonizmu; sytuacja zrodziła dla syjonizmu moc trudności, ale nie przysporzyła „Bundowi" ani jednego argumentu, gdyż odpowiedzialni rzecznicy syjonizmu nigdy trudności realizacji nie negowali, ani ich obecnie nie usiłują pomniejszyć. Każdy człowiek, posiadający świadomość i szczere poczucie przynależności do narodu, zrozumie, że trudności takie wzmagają tylko pęd do niezależnego bytu narodowego; skoro zaś „Bund" pęd ten zwalcza i wyszydza, to widocznie drzemie w nim jeszcze atawizm jego pierwszej młodości, kiedy to stał na gruncie asymilatorskim, a w piórka narodowe zaczął się stroić pod naciskiem wymogów taktycznych, dla łatwiejszego docierania do mas proletariatu żydowskiego. Obecne jego hasła narodowego wyzwolenia są tylko jałową nadbudówką ideologiczną, gdyż nie ma wolności dla narodu, pozbawionego własnej państwowości.

A teraz zajmijmy się samym zarzutem: skąd syjonizm do walki o równouprawnienia w krajach Diaspory, skoro w przyszłość żydowskiej Diaspory nie wierzy? Nieścisłość tkwi już w sformułowaniu zarzutu. Syjonizm bowiem nie wierzy w możliwość dalszego bytowania żydostwa t y l k o w Diasporze, tak samo jak nie wyobraża sobie, by cały naród żydowski bez resztyześrodkował się kiedyś t y l k o w Palestynie. Wszystkie prawie narody żyją teraz częściowo w diasporze, ale tylko jeden naród, nasz naród, żyje w y ł ą c z n i e w diasporze, — i tę anomalię chcemy usunąć. Nie musi nawet wcale większość narodu żydowskiego skupić się w Palestynie, wystarczy jeśli w Palestynie wytworzy się większość żydowska: Irlandczycy też żyją przeważnie poza ojczyzną, ale ten odsetek ich narodu, który zamieszkuje Irlandię, jest tam przytłaczającą większością, i to wystarcza, by Irowie w Ameryce byli synami nie bezdomnego narodu. Słowem — granice państw i granice rozmieszczenia etnicznego ludzkości nie pokrywają się dziś i już nigdy ze sobą pokrywać się nie będą. Istnienie t. zw. mniejszości narodowych, mających z natury swego położenia dwie ojczyzny — jedną ojczyznę swoją, jako j e d n o s t e k i obywateli, oraz drugą ojczyznę n a r o d u, z którym historycznie, kulturalnie są związane, — stało się stanem faktycznym, nieusuwalnym. Stan ten będzie też udziałem Żydów po wsze czasy. To też syjonizm, jako ruch narodowego wyzwolenia żydostwa, nie może przejść do porządku dziennego nad losem, nad codziennymi sprawami i bolączkami ośrodków żydowskich w krajach rozproszenia. Syjonizm już z natury swej musiał równolegle z akcją o odzyskanie i odbudowanie Palestyny podjąć akcję o równouprawnienie mniejszości żydowskich w całym świecie. Te dwa zadania ,te dwie akcje stanowią — jak to niegdyś określiliśmy — alfę i bettę syjonizmu, złączone ze sobą w jeden alfabet. Ta synteza nastąpiła przed 30-tu zgórą laty na konferencji helsingforskiej, i już wtedy stwierdzono, że jedynie w warunkach pełnej demokracji politycznej i społecznej możliwe jest równouprawnienie obywatelskie i narodowo-kulturalne mniejszości żydowskich. Już wtedy związany został syjonizm z ideą demokratyzmu, już wtedy związał swój los z innymi wielkimi ruchami wolnościowymi ludzkości, z ideowymi prądami współczesnego humanizmu.

Ani w teorii, ani w praktyce nie ma sprzeczności między obydwoma fundamentalnymi zadaniami syjonizmu. W teorii — syjonizm uznaje ,jako ruch wyzwoleńczy prawo do wolnego a narodowo odrębnego życia dla wszystkich bez wyjątków grup etnicznych, nie wyłączając najsłabszych, wtłoczonych w granice państwowe innych narodów, a więc także dla mniejszości żydowskich; zarazem uznaje syjonizm prawo każdego bez wyjątku narodu do własnego niepodległego bytu państwowego, i prawa tego domaga się także dla żydowskiego narodu, który jest wszakże jednym z najstarszych narodów cywilizowanych w świecie współczesnym, i który nie chce, nie może dłużej zostać narodem bezdomnym, unikatem w rodzinie ludów kulturalnych. W praktyce — syjoniści byli wszędzie, i w carskiej Rosji, i w dawnej monarchii austro-węgierskiej, pionierami żydowskiej t. zw. polityki krajowej. Po wojnie światowej przywódcy syjonizmu jednocześnie walczyli o statut Żydowskiej Siedziby Narodowej i o statut dla w s z y s t k i c h mniejszości narodowych. Wersalski traktat ochrony mniejszości jest w takiej samej mierze owocem wysiłków i zabiegów syjonizmu, jak zatwierdzenie Deklaracji Balfoura w San-Remo. Nikt wtedy z nami troskę o Diasporę nie dzielił. W walce o wcielenie w życie praw mniejszości przodowali w całym okresie powojennym we wszystkich krajach Europy Wschodniej i Środkowej — syjoniści. A i ostatnio, gdy praktyczne i polityczne zagadnienia palestyńskie absorbują niemal bez reszty Organizację Syjonistyczną, stworzyli syjoniści trybunę i organy Żydowskiego Kongresu Światowego specjalnie dla spraw Diaspory. Walkę o prawa mniejszości żydowskich w Diasporze w ramach demokratycznego ustroju podjął syjonizm jeszcze zanim praca kolonizacyjna w Palestynie przybrała poważne rozmiary, i walkę tę prowadzić będzie — jeśli zajdzie tego potrzeba — także wtedy, gdy gmach Żydowskiej Siedziby Narodowej będzie już wybudowany. Nie ma bowiem wewnętrznej sprzeczności w syjoniźmie, jak nie ma sprzeczności między poszczególnymi literami abecadła, — jest natomiast organiczny związek, ideologiczny monizm i ideologiczna pełnia.

Ex re ostatniego Zjazdu Syjonistycznego w Polsce, na którym w związku z deklaracją płk. Koca na nowo podkreślona została pozycja mniejszości narodowej, jaka się należy ludności żydowskiej w Polsce, — organ Stronnictwa Narodowego wystąpił z „rewelacją", że oto Żydzi sami siebie uważają za odrębny naród, wobec czego żadne prawa im się w Polsce nie należą; jest to nowe wydanie starej tezy endeckiej, że skoro żydostwo polskie wraz z żydostwem światowym rości sobie prawa do Palestyny, to tym samym stracić winno prawa w Polsce. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że rozumowanie to właściwe też jest niektórym mohikanom polityki asymilatorskiej. Mamy tu, oczywiście, także do czynienia ze sprzecznością pozorną. Mówiliśmy już wyżej, że wszystkie mniejszości narodowe na całym świecie mają dwie ojczyzny. Polonia amerykańska np. ani się nie wyrzeknie praw obywatelskich w republikach zachodniej półkuli, ani więzi krwi, historii i kultury, łączących ją z narodem i państwem polskim. Deklaracja Balfoura nie pominęła tej kwestii, — postanawia ona wyraźnie, że stworzenie Żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie w niczym nie może uszczuplić praw skupień żydowskich gdziekolwiekindziej. Deklaracja ta jest częścią składową Mandatu Ligi Narodów, pod którym widnieje obok podpisów 51 innych państw także podpis Rządu Rzeczypospolitej Polskiej.

Do rzędu sprzeczności pozornych należy także odgraniczanie się syjonizmu od „gigantycznych pomysłów" p. Żabotyńskiego i jego bardziej jeszcze niepoczytalnego kombatanta, Wolfganga v. Weisla. Dziwią się ich sympatycy i gorący adherenci z „Czasu", „Kuriera Warszawskiego" i innych „Dzienników Narodowych", dlaczego to sy-

(Dokończenie na str. 8-ej)

Prof. dr. Hugo Bergmann

Rektor Uniw. Hebr. w Jerozolimie

Rola żydowskiego czasopisma

Przed kilku dniami widziałem na Watykanie wielką wystawę prasy katolickiej z całego świata. Nad portalem wejściowym widniał wielki napis: ARMA FIDEI — BROŃ WIARY. Dla Kościoła Katolickiego prasa jest doniosłą bronią w walce. I tak jest istotnie. Dla nas, Żydów, broń ta posiada niespożytą wartość. W walce z destruktywnymi siłami rozproszenia, którym nie możemy się oprzeć, — gazeta syjonistyczna jest najlepszą naszą bronią. Dociera ona wszędzie, do najbardziej osamotnionego domu, do najmniejszej nawet gminy, słowem tam, dokąd nie dochodzi głos przywódców politycznych lub mówców wiecowych. Niewątpliwie, pod wpływem naszego ruchu narodowego dokonały się również i w prasie naszej kolosalne zmiany. Że wymienię tylko — używając przykładu palestyńskiego — kolosalną różnicę między „Chawacelet" Frumkina z przed pięćdziesięciu laty a dzisiejszym „Dawar". A w odniesieniu do diaspory wszak wiadomo każdemu, jaką inowacją pod względem treści, tonu, poziomu dyskusji i zasięgu horyzontów było dla żydowskiego świata dziennikarskiego założenie przez Herzla czasopisma „Die Welt".

Jednakże wydaje mi się, że mimo wielkiego postępu, który uczyniliśmy, — nie uświadomiliśmy sobie jeszcze w dostatecznym stopniu, jak wielka jest odpowiedzialność redaktora żydowskiej gazety. Powiedzieć pragnę: każda zgłoska gazety żydowskiej musi być dla nas ŚWIĘTA, jest ona bowiem bezcennym dobrem, którego nie wolno zaprzepaścić. Każda pojedyńcza zgłoska przyczynić się może — w ramach naszej walki o byt materialny i duchowy — do budowy wielkiego dzieła i szkoda, po tysiąckroć szkoda każdej zgłoski, która napisana została bez poczucia tej wielkiej odpowiedzialności. Redaktorzy nasi muszą być silnymi ludźmi. Nie wolno im robić żadnych koncesji na rzecz smaku czytającej publiczności. Redaktor wiedzieć powinien, czego chce, i dźwignąć musi czytelników do swego poziomu, zaś nigdy nie wolno mu się zniżyć do ich poziomu. Żadnych koncesji na rzecz próżności małych i jałowych klik, żadnych koncesji na rzecz współpracowników wtedy, gdy to, co piszą, sprzeczne jest z kierunkiem pisma!

Jak już powiedziałem, redaktor winien dobrze wiedzieć, czego chce. Możemy dzisiaj, już bez cienia wstydu, przyznać, że pierwsze pokolenie syjonistyczne na Zachodzie Europy nie zdawało sobie jasno sprawy z celu swych dążeń. Musieli dopiero przyjść wrogowie żydostwa, aby otworzyć oczy syjonistów na powagę idei narodowej i jej horyzonty. Niekonsekwentne i — rzec to śmiało można — niepoważne nastawienie syjonistów do własnego programu w żadnym punkcie nie wyraża się tak dobitnie i jednoznacznie, jak w ich stosunku do języka hebrajskiego. Gdyby się z należytą powagą odnosili do własnego swego ruchu, gdyby ci wszyscy syjoniści, którzy w ostatnich latach przybyli do Palestyny, naprawdę znali język hebrajski, — inaczej by się teraz rzecz miała z wewnętrzną mocą i konsolidacją naszej Siedziby Narodowej! To jest zaledwie jeden przykład na to, żeśmy sami dobrze nie wiedzieli, do czego dążymy.

Nasza żydowska gazeta na każdym miejscu pokazać musi, że jej redaktor wie, czego chce. A czego ma chcieć?

Wskazać tylko pragnę na kilka punktów, które wydają mi się być pierwszorzędnej wagi. Gazeta syjonistyczna winna być wyrazem ducha żydowskiego. Musi ona wiele miejsca poświęcić SYSTEMATYCZNEMU rozmieszczeniu wytworów ducha żydowskiego wedle ich wartości duchowych, socjalnych i kulturalnych. Wstępuje ona dziś w miejsce książki żydowskiej, a przynajmniej powinna jej torować drogę, skoro uczy swych czytelników, jaki jest cel żydostwa i o co ono walczy. Czym jest duch żydowski dla ludzkości? Co ma dziś Izrael odpowiedzieć ludzkości na palące zagadnienia, które piętrzą się przed nami? Czy mamy coś do powiedzenia w walce między faszyzmem a demokracją, burżuazją a proletariatem, w walce świata o Boga? Czy możemy my, błogosławieni tylu dobrami duchowymi, WSKAZAĆ NOWE DROGI, czy też zawsze kroczyć musimy w rydwanie różnorakich modnych pojęć duchowych i politycznych?

Do tego dochodzi jeszcze SYSTEMATYCZNE wychowywanie czytelnika w duchu zrozumienia dla Palestyny i związanych z nią zagadnień. Podana wiadomość jest bez znaczenia, jeśli nie jest przez redakcję wyjaśniona, skonstruowana w pewnym związku przyczynowym, napisana w zrozumiałej dla czytelnika formie. Walka partii politycznych w Palestynie wyjaśniona być musi pod kątem jej ZASADNICZEGO znaczenia, z drugiej zaś strony redaktor uświadamiać winien czytelnika o licznych, niezmiernie ważnych i niestety niekiedy przez oficjalny syjonizm zapoznawanych, zagadnieniach kulturalnych Palestyny — o jej problematach duchowych w najszerszym tego słowa znaczeniu.

A dalej: SYSTEMATYCZNE wychowywanie czytelnika w duchu zrozumienia dla diaspory, dla zagadnień, związanych z życiem żydostwa w Polsce, Niemczech, Włoszech, Ameryce, Jemenie itd. Czytelnik gazety żydowskiej, będąc sam tego nieświadomym, wychować się winien na ŻYDA

Zdaję sobie sprawę, że postawiłem gazecie syjonistycznej bardzo duże wymagania, że redaktor obecnie, z powodu przeszkód natury finansowej, politycznej i osobistej, nie jest w stanie nadać swej gazecie oblicza, któreby odpowiadało jego pragnieniom. Ale redaktor żydowski jest wobec ogromnego znaczenia, jakie obecnie posiada gazeta, czynnikiem decydującym w rozwoju naszego syjonistycznego i żydowskiego wychowania, a wychowanie jest przecież jedyną bronią naszej przyszłości.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Intryga grupy B

Na łamach palestyńskiej **„Haarec“** ukazał się artykuł wstępny znanego publicysty **M. Medzini'ego**, poświęcony odbytym ostatnio zjazdom dzielnicowym organizacji syjonistycznych w Małopolsce. M. Medzini pisze:

„Nie jest wcale przypadkiem, że pierwsze odgłosy walki wyborczej na XX Kongres Syjonistyczny — zanim jeszcze można z całkowitą pewnością stwierdzić, że Kongres odbędzie się w ustalonym terminie — nadchodzą z kraju, w którym najsilniejsze są walki wewnętrzne pomiędzy partiami: z Polski. Jeśli syjoniści amerykańscy obradowali na swym, niedawno odbytym, wielkim zjeździe o środkach politycznych i finansowych wzmocnienia stanowiska syjonizmu, jeśli syjoniści angielscy także starają się — w miarę swych możliwości — pomóc całości ruchu — to w Polsce, a właściwie w obu Galicjach, jak wydaje się, rzeczą najważniejszą są wewnętrzne dyskusje i porachunki partyjne.

Nie uważamy bynajmniej, że nie jest obowiązkiem każdego syjonisty w Diasporze i w Palestynie badać drogę, którą przebyliśmy w ciężkim okresie po Kongresie w Lucernie. Przeciwnie, należy nawet poczynić zarzut naszym towarzyszom w Ameryce, Anglii i wielu innych krajach, że tego obowiązku nie wypełniają. Jeśli bowiem krytyka, pozbawiona wszelkiego umiaru i obiektywizmu, szkodzi ruchowi i osłabia jego siłę, to z drugiej strony brak wszelkiej krytyki nie jest zjawiskiem dodatnim. Ale przykład obu Galicji może odstraszyć każdego oddanego syjonistę, kierującego się przede wszystkim pożytkiem ruchu.

*

Nie wiemy jakie to były zasadnicze różnice zdań pomiędzy Egzekutywą Organizacji Syjonistycznej w Małopolsce Zach. a „Związkiem Światowym Ogólnych Syjonistów", którym tak wiele poświęcono uwagi w obradach XIX Zjazdu dzielnicowego w Krakowie. Ze słów głównego prowodyra „Związku", dra Szwarzbarda, wynika, że przejawiał się „negatywny stosunek Egzekutywy krakowskiej do Związku"; dla tego krytykuje on „tendencję licznych towarzyszy, pragnących doprowadzić do rozdwojenia w Organizacji Syjonist. w jedynej dzielnicy w Polsce, w której Organizacja ta jest zjednoczona". Co jednak było przyczyną powstania tych „niebezpiecznych tendencji buntu przeciw „Związkowi" w samej siedzibie kierownictwa tegoż, w tej Galicji, która w praktyce pozostała jedyną prawie twierdzą ogólnego syjonizmu, występującego pod nazwą „grupy B"?

Odpowiedź na to pytanie znaleźć można w sprawozdaniu z dzielnicowego Zjazdu w Małopolsce Wsch., który uchwalił m. i.: „przejść do bardzo ostrej opozycji w stosunku do Egzekutywy Syjonistycznej". W uchwale tej każde słowo zasługuje na uwagę: słowo „opozycja", słowo „ostra", a w szczególności „słowo „bardziej". Jak to opozycja? Przecież przedstawiciel tegoż „Związku Światowego Ogólnych Syjonistów" zasiada dotąd w Egzekutywie Syjonistycznej. A przedstawicielem tym nie jest ktoś obcy Małopolsce, ale lwowianin, dr Rotenstreich. Jak więc to uchwalili „przejść do bardziej ostrej opozycji w stosunku do Egzekutywy"? Jak można zasiadać w kierownictwie, a jednocześnie pozostawać w stosunku do niego w opozycji? A w ogóle: czy teraz właśnie jest najodpowiedniejszy czas dla uprawiania zabawy w opozycję ot tak sobie?

*

Uchwała lwowska jest charakterystyczna dla obecnej sytuacji w ruchu. Zmusza więc ona do poważnego zastanowienia się nad naszą sytuacją wewnętrzną oraz nad sprawą koalicji syjonistycznej z której w chwili obecnej w żaden sposób zrezygnować nie możemy. Inną jednak sprawą jest, czy koalicja, w tej postaci i o tym zasięgu, jaki nadano jej na ostatnim Kongresie, usprawiedliwiła swe istnienie. Tak n. p. uchwała Zjazdu lwowskiego, w całej swojej „prostocie", ilustruje jaskrawo sytuację w jednej części ruchu ogólno-syjonistycznego. Ale także w drugiej części ruchu ogólnosyjonistycznego daje się odczuć naprężenie. Część ta nie uchwali, oczywiście, przejść do takiej sobie „opozycji", ale musi zadać sobie pytanie, czy nie należy przeprowadzić zasadniczej zmiany w formie jej udziału w koalicji. Albowiem poglądy, zasady i postulaty tych ogólnych syjonistów — wśród nich wiele przyjętych przez cały Kongres — nie mogą być bagatelizowane lub odrzucane w codziennej działalności Egzekutywy. Zasada koalicji nie podlega dyskusji, ale jej realizowanie i forma — zasługują na omówienie i wyjaśnienie."

Do słusznych uwag bratniego pisma palestyńskiego nie mamy nic do dodania.

Romain Rolland o syjonizmie

Palestyński organ robotniczy **„Dawar“** ogłasza list wystosowany przez **Romain Rolland'a** do **Jakuba Klackina**, pisarza i myśliciela żydowskiego w Palestynie, w związku z ukazaniem się jego broszury p. t. „Kwestia żydowska w naszych czasach". Cytowany ustęp listu znamionuje pewien postęp Rolland'a w stosunku do syjonizmu, mimo, że z drugiej strony stawia on Birobidżan na jednym poziomie z Palestyną.

„Rozumiem aktualną konieczność syjonizmu. Wielki naród żydowski, prześladowany i rozproszony, winien mieć ziemię, aby się w niej zakorzenić i stworzyć swą jedność (w imię prawdy, ma on teraz dwa kraje: Palestynę i Birobidżan).

Ale jedność ta pójdzie na marne, jeśli (naród żydowski) nie będzie żywym członkiem w organizmie związku republik ludzkich...

Jak Panu wiadomo, jestem internacjonalistą. Nie ma zaś rzeczy bardziej obcej duchowi internacjonalizmu, jak starcia jednego plemienia z innym. Przystąpmy do tworzenia związku wolnych republik świata".

Z gruntu błędne stawianie na jednej płaszczyźnie Palestyny i... Birobidżanu; zbyt pochopne, naszym zdaniem, identyfikowanie Rosji Sowieckiej ze „związkiem republik ludzkich" — ale w stosunku do syjonizmu: duży postęp w poglądach wielkiego pisarza

Pan kapitan Roszkiewicz a literatura

W Kutnie zdarzył się straszny wypadek. W Kutnie. W samym Kutnie. Otóż w tymże pięknym mieście p. mgr. K. Schneiger wystosował następujący list do zarządu czytelni:

„22.XII.1936 r. Kutno.

Szanowna Pani! Po porozumieniu się z dyrekcją upraszam Panią o wydawanie młodzieży szkolnej Gimn. H. Dąbrowskiego dzieł wymienionych niżej autorów:

Emil Ludwig, T. Mann, H. Mann, A. Gobincom, (!) Burkhard, G. Hauptmann, A. Hesse, B. Kollerman, (!) E. Stehr, St. Zweig, Meyerink, Roth, Fink, Remarque, A. Schnitzler.

Łączę zapewnienia głębokiego szacunku

(—) Mgr. K. Schneiger.

Niewinny list, świadczy o wielkim sukcesie literackim Ludwiga, Mannów, Rotha i inn., którzy wreszcie będą czytani przez — nie ulega wątpliwości — inteligentnych uczniów tamtejszego gimnazjum. Wyobrażamy sobie radość n. p. takiego Remarque'a gdy pewnego dnia dowie się, że młodzież szanownej szkoły w Kutnie czyta jego książki, a towarzysz Tomasz Mann z radości pocznie fikać kozły! Siup! Hopsiup! Hop! Ale nie bądźmy złośliwi.

Bądź co bądź Kutno leży w Europie. Trochę na uboczu, ale w Europie. Ostatecznie i kolej tam dochodzi i autobusikiem też się dojedzie. Więc należy jedynie przyklasnąć szlachetnej inicjatywie dyrekcji gimnazjum, która zapewnie po głębokiej rozwadze, zdecydowała się wprowadzić swoich uczniów w zasięg kultury europejskiej, którą jak nam wiadomo reprezentują na szerokim świecie n. p. obywatel Zweig, a nie — pan kapitan Roszkiewicz.

Ale pardon! Pana kapitana Roszkiewicza nie mamy przyjemności znać z kart literatury. zajmuje się on jednak zapewnie piśmiennictwem pięknym, skoro w chwilach wolnych od innych bardziej pożytecznych zajęć — wygłasza o literaturze bezapelacyjne sądy.

Niech będą bezapelcyjne! I niech wygłasza! Byleby tylko nie oceniał literackiego dorobku Europy — z punktu widzenia racji stanu des mit uns befreundeten Nachbares. Bo wówczas — stop! Więc cóż to takiego się stało? Otóż p. kapitan Roszkiewicz po przeczytaniu cytowanego przez nas odpisu listu, napisał w „Polsce Zbrojnej" artykuł pełen oburzenia na tych, tkórzy ośmielają się czyste dusze pacholąt skąpać w bagnie — Mannów, Zweigów i Rothów.

P. kapitan Roszkiewicz pisze:

„Z dokumentu tego wynika — że nauczyciel państwowego gimnazjum po uzgodnieniu z dyrekcją szkoły, prosi bibliotekę publiczną, utrzymywaną z funduszów samorządowych, aby dostarczała młodzieży szkolnej dzieł autorów: Remarque'a, Zweiga, Finka i kilku jeszcze m. in., autorów zabronionych w Niemczech, ze względu na idee t. zw. „pacyficzne". Trudno nie nadmienić, że nie zachodzi tu żadne nieporozumienie... i t. d.

Jak? Co? Gdzie? w Niemczech? Więc cóż? Hitlerowskie ustawy przecież w Polsce nie obowiązują! Czyżby pan kapitan Roszkiewicz wyobrażał sobie, że ukazy jakiegoś cenzorskiego lektora, wydawane w hitlerowskich Niemczech, posiadają też siłę prawną i moralną w Polsce?

Jak wiadomo nam, przez długie dziesiątki lat najlepsi synowie narodu polskiego, ginęli właśnie w imię przyszłej Polski niezależnej od ustaw, rozkazów, nakazów, ukazów w berlińskich ministerstwach! Więc skąd u p kap. Roszkiewicza owa bezgraniczna ufność w autorytet rozporządzeń niemieckich, zaopatrzonych podpisem obcego ministra i pieczęcią wyobrażającą czarnego orła, rozwijającego skrzydła do lotu! Taka interpretacja „polsko-niemieckiego zbliżenia" jest istną rewelacją! Nowością! A jeżeli p. kap. Roszkiewicz zechce jeszcze kiedykolwik powołać się na hitlrowskie ustawy, niechaj łaskawie zajrzy do skonfiskowanych wydawnictw niemieckich **(przez władze polskie, a nie niemieckie)** „Knawis'a Weltatlas'u" i „Hanze'a Weltatlassu", w których:

„Poznańskie, Pomorze i korytarz są oddzielone od Polski grubą linią, przy czym zostały zupełnie pominięte polskie nazwy miejscowości. Rzecz jasna, iż również Alzacja i Lotaryngia zostały oderwane od Frncji. Górny Śląsk przyłączony jest do Rzeszy bez wszelkiej żenady.

Drugie zajęte wydawnictwo nazywa się „Hanze Welt-Atlas" wydany przez firmę Neufeld-Nenius Verlag. W tym atlasie określa się sferę wpływów niemieckiego „ducha". Na obszarze Polski wpływy te dochodzą aż do Brześcia. Na Pomorzu w ogóle Polaków nie ma, są tylko „Kassuben". Na Wileńszczyźnie również nie ma Polaków, są wyłącznie Litwini. Polacy mieszkają według tego atlasu tylko pomiędzy Warszawą a Krakowem.

Leopold Halpern

Rzecz o Józefie Piłsudskim

Obchód imienin Józefa Piłsudskiego za życia i — po Jego śmierci... Ta sama data 19 marca, ten sam powód uroczystości, ale jakże odmienny charakter. Za Jego życia bowiem — i to zarówno przed, jak i po maju 1926r. — każdorazowy obchód imienin Piłsudskiego przeobrażał się w demonstrację polityczną pewnych odłamów społeczeństwa, które w danym okresie widziały w osobie Solenizanta symbol, uosobienie swoich politycznych dążeń. A że bogate i barwne życie polityczne Komendanta Piłsudskiego obfitowało w kilka takich zasadniczych okresów, że dalej w różnych czasach szły za Nim lub z Nim współpracowały różne osobistości, kierunki i obozy polityczne — nic więc dziwnego, że w poszczególnych latach obchody te miały rozmaitą treść polityczną. Zmieniało się też grono ludzi, którzy w różnych latach dzień 19 marca uważali za *swoje* święto. W księgach gratulacyjnych Belwederu, znalazło się wiele podpisów, których nie było w Sulejówku w okresie wygnania i jeszcze przed tym — ale zarazem zabrakło w nich nie jednego nazwiska osób, które w dawniejszych czasach współpracowały z Józefem Piłsudskim. Tak było za życia... Albowiem jest psychologicznym prawem, że wydając sąd o człowieku, kierujemy się — świadomie, czy też podświadomie — jego *ostatnimi czynami*. Pamiętamy wprawdzie żywo także czyny dawniejsze, ale w danym momencie na kształtowanie się naszych subiektywnych sądów najsilniej wpływają ostatnie czyny, ostatnie słowa, ostatnie reakcje. Tak jest w życiu codziennym — tak samo jest w życiu społecznym — nie inaczej więc kształtowały się sądy i uczucia społeczeństwa w stosunku do Piłsudskiego za Jego życia.

Inaczej po Jego śmierci. Po 12. maja 1935 r. zmieniła się w ogółu świadomości hierarchia czynów życia Piłsudskiego. Kryteria *chronologiczne* ustąpiły z miejsca kryteriom oceny *merytorycznej:* na sąd o roli Józefa Piłsudskiego poczęły decydująco wpływać nie posunięcia *ostatnie*, ale te które były *obiektywnie najdonioślejsze*, albo też *subiektywnie nam najbliższe*. Nazwisko Józefa Piłsudskiego poczęło się w wyobraźni kojarzyć z *całym* życiem Ziuka, towarzysza „Wiktora", obywatela Komendanta, więźnia magdeburskiego, Naczelnika Państwa, Naczelnego Wodza, Marszałka Polski, wygnańca z Sulejówka, wodza przewrotu majowego...

Dlatego *teraz* dzień 19. marca jest dniem wspomnień nie tylko, dla tych, którzy solidaryzowali się ideowo z Marszałkiem w ostatnim okresie Jego życia, ale dla wszystkich, a jest ich cały legion, którzy w różnych czasach szli ramię w ramię lub pod przewodnictwem Piłsudskiego, dla wszystkich, którzy sympatyzowali z pewnymi okresami Jego działalności oraz ideałami, którym wtedy hołdował.

Dla różnych ludzi dzień 19 marca przyniesie więc — różne wspomnienia.

* * *

Dla demokracji *polskiej* i dla demokracji *w Polsce* wspomnienia te łączą się z okresem podziemnej walki P.P.S. o niepodległość i sprawiedliwość społeczną i narodowościową, z walkami legionów oraz z budową zrębów odrodzonego państwa.

Tym właśnie czasom poświęcona jest książka jednego z najbliższych współpracowników towarzysza „Wiktora" — zmarłego ostatnio Leona Wasilewskiego („Józef Piłsudski jakim go znałem" Warszawa 1935 str. 234.) Z pośród licznych wydawnictw, tworzących już obecnie bogaty dział „piłsudskiana" — książka ś. p. Wasilewskiego wyróżnia się korzystnie swym rzeczowym obiektywizmem, bezpośredniością spostrzeżeń i bogactwem źródeł, pochodzących z pierwszej ręki.

Jak często się zdarza z stosunkami, które później przeradzają się nawet w przyjaźń — znajomość Wasilewskiego z Piłsudskim rozpoczęła się na tle lżejszych i poważniejszych konfliktów. Było to w r. 1897. na zjeździe Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich w Zurychu. Opozycja młodszej generacji zdobyła tam większość i głosami swymi przeprowadziła wybór *W.* do t. zw. „centralizacji" oraz na redaktora londyńskiego „Przedświtu". Stało się to wbrew życzeniom przedstawiciela „kraju" t. j. P. P. S., którym był J. Piłsudski, występujący pod pseudonimem tow. *„Wiktor"*. Otóż echa tego wyboru znalazły swój wyraz na posiedzeniu „centralizacji", a to w związku z błędnym cytowaniem listu P. przez W. Wasilewski przyznaje się: „Na posiedzeniu Centralizacji Z. Z. S. P. musiałem wysłuchać od tow. „Wiktora" reprymendy, wypowiedzianej surowym tonem, podkreślonym jeszcze szeregiem uderzeń podeszwy buta o podłogę". A nieco dalej: „nigdy już później nie widziałem go w takiej pasji".

Ale *w tych czasach* były to tylko wyjątkowe chwile. Przeciwnie, Piłsudski pobłażliwie traktował rozmaite wystąpienia opozycyjne, w wydawaniu zaś opinii o ludziach był niezwykle pobłażliwy „Nigdy nie słyszałem z ust jego — opowiada Wasilewski — jakiegoś wyrazu trywialnego, nie mówiąc już o nieprzyzwoitych. Brzydził się nimi najwidoczniej. Ciekawe też, że nikt w jego obecności nie ważył się używać takich wyrazów".

W okresie podziemnej akcji P.P.S., a zwłaszcza po aresztowaniu Piłsudskiego w Łodzi, poczęła się tworzyć legenda. Prości żandarmi odczuli w nim „generała", rewolucyjnego wprawdzie, ale zawsze generała, traktując go z szacunkiem, a nawet z posłuszeństwem i bojaźnią. Legenda ta wzrosła po symulowaniu obłąkania i karkołomnej ucieczce z Petersburga. To też Wasilewski tu stwierdza: „Że towarzysz „Wiktor" był najwybitniejszym wodzem P.P.S., o tym nikt w partii nie wątpił".

Głęboka niechęć do Rosji cechowała wtedy wszystkie niemal wystąpienia Piłsudskiego, stanowiąc „jeden z zasadniczych rysów jego światopoglądu politycznego". Biorąc w Londynie udział w jednym z zebrań dyskusyjnych „Bundu", Piłsudski rozpoczął swe *rosyjskie* przemówienie takim oto zdaniem: „Ja jeszczo nie zabył etowo prokliatowo jazyka" (ja jeszcze nie zapomniałem tego przeklętego języka). Charakterystyczne i niestety niezmiernie aktualne jest też takie oto wspomnienie Wasilewskiego: „Ziuk często z obrzydzeniem mówił o tych szykanach, na jakie bywali narażeni Żydzi, jeżdżący kolejami, ze strony publiczności rosyjskiej, uważając, że u nas jest to zupełnie niemożliwe". —

Czytelnika żydowskiego zainteresują wspomnienia, rzucające światło na stosunek Piłsudskiego do Żydów i do kwestii żydowskiej. Otóż był On w stosunku do nas pozbawiony wszelkich uprzedzeń, ale jak większość socjalistów tego okresu, nie rozumiał narodowego podłoża sprawy żydowskiej. Na polecenie C. K. P.P.S. Wasilewski napisał broszurę propagandową dla licznych narodów uciskanych w Rosji p. t. „We wspólnym jarzmie", przesyłając Piłsudskiemu do oceny. Piłsudski odpowiedział obszernym listem, dając wiele wskazówek i instrukcji, dotyczących poszczególnych narodowości. Cytujemy dosłownie niezmiernie charakterystyczny ustęp, poświęcony Żydom: „Nareszcie jeszcze kwestia — to Żydzi; najlepiej bodaj będzie zupełnie opuścić ich — sprawa to drażliwa i można ją załatwić w paru słowach i ogólnikowych dowodzeniach, do których trudno się przyczepić. Sądzimy, że najlepiej będzie wspomnieć o nich w dziale Litwa, wspomnieć w ten sposób, że są uściskani bodaj gorzej od wszystkich i tak samo, jak wszyscy uściskani, powinni szukać ratunku we wspólnej walce z chrześcijanami o swobodę kraju". Stanowisko to, polegające na unikaniu i omijaniu zdecydowanego wypowiedzenia się za narodowym rozwiązaniem sprawy żydowskiej, było wtedy a także często w czasach późniejszych, charakterystyczne dla wielu wybitnych przywódców socjalistycznych, że wymienimy tylko Lenina, Trockiego i Bauera.

Na tym też tle powstała długoletnia walka polemiczna Piłsudskiego z „Bundem". O walce tej czytamy u Wasilewskiego m. i.: „...w ośrodkach Litwy (historycznej) wśród proletariatu żydowskiego rej wodziła inteligencja żydowska zupełnie zrusyfikowana kulturalnie i, skutkiem tego, wywierająca wpływ rusyfikatorski i na proletriat żydowski. Tow. „Wiktor" prowadził na grucie wileńskim gorące dyskusje z miejscowymi przedstawicielami żydowskiego ruchu socjalistycznego — przyszłymi kierownikami „Bundu" — na temat programu niepodległości, kwestii narodowościowej, stosunku do Rosji i t. d.

Niektóre jego powiedzenia odbiły się w literaturze agitacyjnej „bundowców". Tak n. p. jego twierdzenie, że nas stosunki rosyjskie obchodzą w tej samej mierze (punkt a zoj), co australskie, było cytowane na dowód skrajnego szowinizmu P.P.S.". —

Po przeniesieniu się do Galicji Piłsudski począł coraz silniej akcentować w P.P.S. moment niepodległościowy oraz przygotowanie się do walki zbrojnej z zaborcą. Na tym tle powstały liczne konflikty z linią partii, które później doprowadziły do rozłamu. Na odbytym we Lwowie w r. 1906, VIII Zjeździe P.P.S. doszło do rozgrywki. W czasie przemówienia Piłsudskiego, broniącego zachowania Organizacji Bojowej, dr. Golde-Stróżecka puściła w obieg karteczkę. „Po mowie nie klaskać". Kartka ta dotarła też do rąk przewodniczącego, dr. Diamanda, który incydent ten ostro zganił. Na terenie Galicji Daszyński poparł całym swym poważnym autorytetem Piłsudskiego i jego koncepcje. —

Ciekawe też i oświetlające mniej znane szczegóły są wspomnienia Wasilewskiego z okresu po odzyskaniu Niepodległości. Otóż jeszcze przed Magdeburgiem Komendant powołał do życia dwie komórki przyszłych cywilnych organizacji politycznych: lewicową (A) i prawicową B. na czele grupy A stnęli Moraczewski i Śmigły-Rydz. Po powrocie z Magdeburga Piłsudski zwołał posiedzenie członków komitetu A, a więc Moraczewskiego, Wasilewskiego oraz wtedy do konwentu przyjętego Sławka. Komendant pewne rzeczy chwalił, inne znowu, poczynione w jego nieobecności ostro zganił, zwracając się do zebranych z ostrym wezwaniem „użycia bicza na samych siebie". Wasilewski pisze, że „Wezwanie to nie bardzo było dla nas wszystkich zrozumiałe, zwłaszcza dotknęła nas ostro jego forma — tak, że, kiedyśmy się już rozstali z Komendantem, Moraczewski odezwał się: Komendant zupełnie niepotrzebnie to wszystko mówił".

O nieudanym puczu Sapiehy w nocy z 4 na 5 stycznia 1919r. Wasilewski opowiada, że kiedy wraz z Moraczewskim wracali późno z Belwederu, zatrzymano ich auto w Alei Ujazdowskiej i do rana więziono w lokalu „Rozwoju". —

Ostatnie osobiste spotkanie Wasilewskiego z Pilsudskim miało miejsce w niedzielę, poprzedzającą przewrót majowy. Wasilewski przybył w imieniu władz partyjnych, by osobiście zaprosić Marszałka na akademię P.P.S. ku uczczeniu Marii Paszkowskiej. Piłsudski zaproszenie przyjął, a Wasilewski zauważył, że zdradzał silne zdenerwowanie. Po przewrocie już się więcej ze sobą nie zobaczyli...

* * *

Prawda, realistyczna prawda i tylko prawda — prześwieca ze stron książki Wasilewskiego o Piłsudskim. Poznajemy go takim, jakim żył, jakim działał, jakim w różnych okresach swojego trudnego życia walczył o ideały. Prawda uwydatnia prawdziwą wielkość silniej i czyściej od najpiękniejszych hymnów pochwalnych.

19 marca 1937.

Prof. dr. Franz Oppenheimer

ANTYSEMITYZM I KAPITALIZM

Żydostwo środkowej i wschodniej Europy przeżywa obecnie ciężki kryzys. Jeżeli sprawę tę rozważymy z socjologicznego punktu widzenia, nie wolno nam ani na chwilę zatrzymać się przy pozornych powodach, podawanych w złej lub dobrej wierze przez wrogów żydostwa dla uzasadnienia ich planów i zamysłów. Zdolności Żyda nie są większe ani mniejsze od uzdolnień nie-Żyda; jego konkurencja nie jest bardziej niebezpieczną ani dlatego, że posiada on mniej skrupułów moralnych, ani też z tej przyczyny, która przed laty posłużyła pewnemu przywódcy rumuńskiego antysemityzmu — do motywacji zajętego stanowiska: mianowicie pan ten powiedział mi, że Żyd jest za bardzo gospodarczo uzdolnionym i stąd jego wyjątkowa przewaga nad chrześcijanami. Przeciętny Żyd jest raczej lepszym obywatelem bo bezustannie czuje nad sobą krytyczny dozór i w całej pełni świadom jest zbiorowej odpowiedzialności za postępowanie jednostki. Nie jest też od urodzenia zdolniejszym: musi tylko wytężyć swe siły, by przy tym szybkim wyścigu, w którym bierze udział, nie być zmuszonym do zupełnego ustąpienia z pola.

Oko socjologa całkiem inaczej na tę sprawę patrzy. On wie, że jak długo istnieje ludzkość, grupy odnosić się będą do siebie ze sporą dozą nieufności, niechęci a nawet nienawiści. Każda bowiem grupa uważa siebie z całą swą fizyczną i duchową fizjognomją, a przede wszystkim z całym aparatem i kodeksem swych norm i imperatywów, obyczajów i moralności za najdoskonalszą pod słońcem, każdą zaś inną grupę uważa za gorszą i moralnie niższą. To jest źródło wszelkiej nienawiści grupowej, wszelkiego współzawodnictwa, ale też i wielu postępów. Dzisiaj zastanowić się mamy nad tym, dlaczego z tego ziarna właśnie teraz wykiełkowała taka olbrzymia i taka niebezpieczna nienawiść ku naszej społeczności.

Wymagałoby to tomów, gdybym chciał temat w wszystkich jego poszczególnych rozgałęzieniach wyczerpać. Mogę tu tylko zaledwie w krótkości przedstawić główną przyczynę, tak, jak ona mnie się przedstawia; chciałbym ją następującym ująć zdaniem: *obecny kryzys żydostwa to objaw kryzysu kapitalizmu.*

Żydzi są kozłem ofiarnym europejskiej historii. Wszystkie swe wielkie spory roztrzygają Europejczycy na barkach żydowskich. Po raz pierwszy w schyłku średniowiecza i w zaraniu nowożytności historię narodów wypełniły spory religijne, a więc podczas walki między chrześcijaństwem a islamem, Żydzi byli tymi, którzy przede wszystkim padli ofiarą dzikiej gorliwości religijnej; później zapłonęła walka religijna między katolikami a protestantami. I znowu Żydzi wskutek tego wszędzie ciężko cierpieć musieli. Walki te kończyły się wojnami religijnymi, którym kres położył pokój w Osnabrück i Münster. Od tej chwili dzieli narody europejskie: *nacjonalizm. cień kapitalizmu.*

Socjologicznie należy najdokładniej rozróżnić pomiędzy dobrym i chwalebnym poczuciem narodowym, zupełnie naturalną miłością do ojczyzny, do narodu, do języka i dziejów grupy, do której z urodzenia się należy — a złym, zaczepnym nacjonalizmem, który uważa własny naród za wybrany, a siebie za uprawniony do ujarzmienia wszystkich innych narodów, albo w najlepszym razie do wchłonięcia wszystkich innych narodów. Ten agresywny i ekskluzywny nacjonalizm jest tworem nowożytności i przede wszystkim — jednym z wielkich objawów kapitalizmu. Jest niczym innym jak tylko wyrazem konkurencji różnych narodowych grup kapitalistycznych na rynkach świata. Z bólem doświadczamy tego codziennie, że się identyfikuje te dwie różnorodne sprawy, poczucie narodowe i nacjonalizm. Na tej identyfikacji polega największe niebezpieczeństwo naszych czasów, gdyż tylko w ten sposób uspokaja ruch nacjonalistyczny świata swe sumienie i zdobywa potężną siłę zaczepną; tylko dzięki temu potrafił nacjonalizm pozyskać najlepsze elementy entuzjastycznej młodzieży i wykształcić je na awangardę brutalnej walki. To trzeba zrozumieć, aby należycie ocenić, że właśnie studenci, którzy przed stu laty byli awangardą walk wolnościowych, teraz wszędzie zaciągają się pod chorągiew nacjonalizmu; znajdują się między nimi nie tyle reakcyjni opoje, ale mnóstwo uczciwych, płomiennych idealistów. Raz po raz wychodzi na jaw, że młodzi ludzie mieszają poczucie narodowe z nacjonalizmem.

Szlachetne poczucie narodowe jest tak stare, a wstrętny nacjonalizm, powtarzam to, przyszedł na świat równocześnie z kapitalizmem. Przeto staje się samo przez się zrozumiałe, że równocześnie z kryzysem kapitalizmu, który przeżywamy obecnie, zbliży się nacjonalizm do zenitu, a jego wykładnik antysemityzm w coraz potworniejsze przyobleka się formy. Antysemityzm przyjmuje coraz niebezpieczniejszą postać, zyskując dla siebie wielkie masy ludu, które dotychczas nie znały antysemityzmu w tak groźnej formie. W masach ludu spoczywał stosunkowo niewinny i jeszcze nierozwinięty pra-ogólno ludzki zarodek nienawiści, niechęć grupowa nie o wiele silniejsza od wrogiego n.p. uczucia Prusaka dla Saksończyka, protestanta do katolika, Bawarczyka do mieszkańca północnych Niemiec. Ta niechęć grupowa była w gruncie rzeczy humorem podszyta. Obecnie jednak ogarnął prawdziwy nacjonalizm także owe szerokie koła, które dopiero odczuwać zaczynają czym jest kapitalizm. Są to ci, którzy popadli w ubóstwo z powodu wojny i inflacji, jednym słowem zubożały stan średni; do tych elementów przyłączyli się owi robotnicy, których rosyjski eksperyment nie zdołał przekonać o doskonałości komunizmu. Z gniewem biją we wóz żydowski, a mają na myśli osła kapitalizmu. Nie dajemy się uwieść tym przestarzałym, upartym hasłom o prawicowych i lewicowych partiach.

W Rosji kapitalizm ciężkiej doznał porażki. Czy ta klęska była decydująca, czy system Sowietów będzie trwały, czy ulegnie przemianie i czy go w końcu obali krawawa rewolucja — nie jest naszą rzeczą tu wytłumaczyć, nawet gdybyśmy mogli z całą pewnością przyszłość przepowiedzieć. Odpowiednio do tego zupełnie inny jest charakter nacjonalizmu i antysemityzmu w Rosji, gdzie stan średni nie tylko zubożał, ale poprostu zupełnie doszczętnie został wytępiony; działają tam tylko znikome resztki prywatnej konkurencji. Antysemityzm sowiecki atakuje Żydów na punkcie ich religii i ich kultury, ale nie ostrzej, aniżeli inne społeczeństwa religijne. Religią państwową jest tu właśnie leninowski komunizm i odpowiada to całkowicie okropnemu zacofaniu Rosji, że zmierza ku władzy przy najmniejszym braku tolerancji wobec innych wyznań. To samo powiedzieć można o polityce zewnętrznej kraju; nie chodzi o rozszerzenie po całym świecie wpływu języka i charakteru rosyjskiego, tylko właśnie—rosyjsk. religii państwowej. Cierpią więc Żydzi w Rosji dlatego, że przy własnej trwają religii i kulturze, a w ścisłym związku z tym pozostaje antysyjonistyczne nastawienie Sowietów. Los żydostwa rosyjskiego zależeć będzie od losu sowieckiego systemu. Jeżeli zapanuje krwawa reakcja, trzeba się będzie liczyć niestety z okrutnymi pogromami. Od wyniku rewolucji zależeć będzie los Żydów. Jeżeli dojdzie do powtórnego wprowadzenia systemu kapitalistycznego, to Żydzi cierpieć będą od sprzymierzonego z nim nacjonanlizmu w równie ciężkiej mierze, jak w innych krajach; jeżeli natomiast — co uważam za możliwe — wytworzy się taka forma państwa i gospodarki, która nie jest ani kapitalistyczna ani komunistyczna, wówczas wraz z nacjonalizmem zniknie zwolna i antysemityzm w swej szczególnie niebezpiecznej formie; może i śladu po nim nie pozostanie, a istnieć będzie tylko owa pierwotna, nie dająca się wytępić niechęć grupowa. Pod naporem gwałtownego systemu wychowawczego Sowietów, które poprostu siłą wpajają w młode dusze swą religię państwową, Żydzi tymczasem bardzo się zasymilują, zarówno pod względem języka, jak obyczajów i wyglądu.

W pozostałej Europie będzie nacjonalizm i antysemityzm tak długo istniał, jak i kapitalizm. W zachodniej i południowej Europie, liczba Żydów i ich wpływ są tak nikłe, że w najbliższej przynajmniej przyszłości położenie ich nie może być określone jako niebezpieczne.

Jest możliwe, że owa ciężka końcowa walka, między kapitalizmem pod postacią imperializmu z jednej strony, a socjalizmem pod postacią bolszewizmu z drugiej strony, wytępi większą część ludności, zniszczy gospodarkę i wywoła zupełny upadek cywilizacji. Trzeba tylko rzucić wzrokiem na Mezopotamię, Sycylię, Afrykę północną, by się przekonać, że to już nie po raz pierwszy w historii świata tak znikają z mapy i widowni dziejowej wielkie państwa o bogatej cywilizacji, gdzie ongiś wznosiły się rojne miasta, dziś zdziczali pasterze popędzają swe trzody. A przecież przed wiekami na tych terytoriach znajdowały się dominujące ośrodki politycznego i gospodarczego życia całego świata.

Wszelki nacjonalizm w ujemnym tego słowa znaczeniu, oraz jako jedna z jego odmian, wszełki antysemityzm, który jest czymś więcej, aniżeli ową wieczną niechęcią grupową—jest cieniem kapitalizmu. Z tego faktu należy więc wysnuć wniosek, że antysemityzm zginie wraz z kapitalizmem tak jak z nim przyszedł na świat. A my żyjemy w okresie „zmierzchu bogów” kapitalizmu. Wojna Świat. była ostatnim groźnym objawem tej ciężkiej choroby. Dwa tylko istnieją możliwe wyjścia z tej sytuacji: albo zagłada zachodu, albo ratunek za pomocą kojących reform. W obu wypadkach jest kapitalizm europejski zjawiskiem, należącym do historii.

J. Leser

O powrót do „złotego środka”

Żyjemy w okresie, w którym dochodzą do głosu same krańcowości. Wzgardzone jest wszelkie umiarkowanie, które poczytywane jest jako dowód słabości, niezdecydowania, tchórzostwa. Człowiek „środka” pomawiany jest o brak wyraźnego oblicza, o brak odwagi, bez której niepodobna wkroczyć na drogę prawdziwie twórczą. Z drugiej strony należy przyznać, że droga „środka” odegrała ważną rolę tak w historii etyki ,jak i w twórczości artystycznej. Cała etyka Arystotelesa np. zbudowana jest na cnotach „środka”, jako pojęcia miary, która tak wielkie miała znaczenie u starożytnych Greków. Zachowanie miary było też ideałem jednego z największych duchów twórczych ostatnich stuleci — Goethego, ideałem, do którego należy nieprzerwanie dążyć.

Obecnie zaznacza się niestety zanik zrozumienia dla ideału „środka”. W świecie współczesnym ścierają się z sobą biegunowe kontrasty. Faszyzm i bolszewizm zwalczają się wzajemnie, nie przebierając w metodach, łącząc się jednak, jeśli chodzi o natarcie na wały „środki”, które — atakowane tak z lewa jak i z prawa — grożą runięciem.

Ideologia „środka”, trzeba to przyznać, ma dziś mało zwolenników, straciła ona na jasności i wyrazie. Feliks Weltsch w swojej książce „Das Wagnis der Mitte”, napisanej z rzadką precyzją myśli, o pierwszorzędnych walorach formalnych, usiłuje przywrócić „środkowi” jego znaczenie, jego prawdziwą wartość, negowaną i zwalczaną tak zawzięcie przez fanatyków obu biegunowo różnych obozów.

Całe nasze życie, jak stwierdza autor, jest pełne sprzeczności, krańcowych antytez. Wybór między nimi sprawia nam nie mało cierpień. Weltsch stawia pytanie: „Czy naprawdę nie ma innej drogi, jak droga na prawo czy na lewo? Czyż nie ma drogi trzeciej, drogi środka?”

Feliks Weltsch zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie grozi wszelkiej prawdziwie twórczej myśli ludzkiej ze strony, z natury swej statycznego, nierewolucyjnego „środka”, toteż w rozdziale, zatytułowanym „Die Arten der Mitte” rozróżnia syntetyczną drogę „środka” od substrakcyjnej. Pierwsza prowadzi wzwyż, do co raz większych zdobyczy ludzkiego ducha, druga do hamującego wszelki prawdziwy postęp, słusznie przez wyznawców antypodycznych światopoglądów znienawidzonego *kompromisu.* Chodzi właśnie o to, aeżby w naszym życiu etycznym, opanowanym przez dwa wzajemnie zwalczające się światy, uczuć: Erosa i Ethosa — instynktu i ducha, obrać syntetyczną drogę „środka”, reagując na tę walkę dwóch światów o nasze „ja” — „twórczo”, a nie „histerycznie“. Od rodzaju reakcji zależy bowiem, czy posuwamy się naprzód, czy też cofamy się w tył. Przez reakcję *„histeryczną”* rozumie autor wszelkie reagowanie, które powoduje rozładowanie nagromadzonych w człowieku instynktów w sposób nieproduktywny. Termin ten, zapożyczony z psychopatologii, określa sposób, w jaki nagromadzone w człowieku popędy szukają dla się ujścia, i znajdują je w miejscu najmniej opornym. Piękne jest porównanie, które przytacza Weltsch dla lepszego zrozumienia różnicy, zachodzącej między jedną a drugą reakcją. Nagromadzone w człowieku popędy porywnywa autor do pary, gromadzącej się w kotle. Zastosowanie odpowiedniego wentylu może zamienić tę parę w pożyteczną energię, za pomocą której można wyprodukować pewne wartości. Zaś brak tego wentylu powoduje, że para szuka ujścia w najmniej odpornym miejscu ściany kotła, rozsadzając go.

Antysemityzm jest wedle autora klasycznym przykładem takiej „histerycznej drogi środka”. Powiada on: „Nie kapitalizm lub socjalizm, lecz antysemityzm. Nie wojna lub pokój — lecz antysemityzm. Nie nowe podatki lub oszczędności — lecz antysemityzm. Nie klerykalne lub wolne szkoły, lecz antysemityzm. Nie zakaz spędzania płodu lub wolne sztuczne poronienie, lecz antysemityzm”.

Autor słusznie podnosi charakterystyczny dla „histerycznej drogi środka” fakt wynajdywania dla różnego rodzaju ścierających się sprzeczności jednej jedynej formy wyładowania. Antysemityzm jest w tym wypadku uniwersalnym łekarstwem na wszystkie bolączki naszej współczesności.

Przeciwstawiając reagowaniu histerycznemu reagowanie twórcze, stwierdza Weltsch, że największe zdobycze ludzkiej kultury zawdzięczać należy tym właśnie „twórczym reakcjom” na przeszkody, jakie nie dające się z sobą pogodzić — antypodyczne sprzeczności stawiają ludzkiemu duchowi w jego parciu naprzód.

Autor wylicza cały szereg nurtujących w umyśle człowieka nowoczesnego antytez. Taką typową antytezą, powodującą wieczny niepokój człowieka, jest świadomość znikomości życia przy całej jego wewnętrznej tęsknocie i żarliwym wołaniu za wiecznością. Ten, nie dający się rozwiązać dylemat, jest jednak — wedle autora — jednym z najważniejszych czynników naszego życia artystycznego. Dzieła sztuki są w tym wypadku pomostem między krańcowościami: wiecznością i znikomością naszego życia.

Feliks Weltsch, propagując „środek” (die Mitte), nie zarzuca krańcowości, nie neguje ich wartości dla naszego życia, przeciwnie, — sądzi, że kto wybiera drogę „środka” z nienawiści ku obu krańcowym skrzydłom, wybiera źle. Natomiast wybiera dobrze ten, który idzie na drogę „środka” z wierności dla obu krańcowo różnych światopoglądów. Bo tylko wówczas droga „środka“ może się stać drogą naprawdę twórczą.

Całe nasze życie, cały nasz sposób myślenia nosi charakter antytez: „prawda i fałsz, porządek i chaos, dobro i zło, wieczność i znikomość. Charakter antytez posiadają też wielkie problematy filozoficzne: idealizm i materializm, racjonalizm i irracjonalizm, dusza i ciało, determinizm i indeterminizm, optymizm i pesymizm i t. d.” Nie fakt istnienia antytez jest powodem panującego zła, lecz sposób, w jaki my na te antytezy reagujemy.

Na teorii o twórczej drodze „środka” opiera autor swoją koncepcję o wielkim znaczeniu demokracji, która chwilowo miażdżona przez dyktatury z lewa i z prawa (bolszewizm i faszyzm), musi jednak w końcu wziąć górę nad obu krańcowościami, przysparzając swoim zwycięstwem nowych zdobyczy naszej kulturze.

Ale o tym w następnym artykule.

*) *Feliks Weltsch „Das Wagnis der Mitte”, Verlag J. Kittl M. Ostrau. 1937.*

FELIETON

Naturam expellas furca...

„...Zrozumiały jest natomiast instynkt samoobrony kulturalnej...”

Ten passus ostatniej pieśni, bynajmniej nie łabędziej — jest już powszechnie znany. Ale myśl nie jest nowa. Jeszcze przed wojną coś podobnego oświadczył słynny rosyjski pisarz Czirikow, i wywołał całą burzę protestów. No, to było przed wojną, w czasach powszechnej ciemnoty, i w cesarskiej Rosji. A już w kilkanaście lat po wojnie taką samą myśl dokładnie sprecyzował p. minister Frank i p. minister Goebbels,—zresztą w stosunku do wszystkich ras, stojących poniżej czystej rasy słynnego z czystości moralnej Horsta Wessela — i nikt wtedy nie protestował. Niech no by spróbował!...

Ale na ostatnim konkursie chopinowskim pierwszą nagrodę otrzymał Jakób Zak (Żyd z Bolszewii), drugą zaś Roza Tamarkina (Żydówka z Bolszewii). Za najlepsze zrozumienie i odtworzenie piewcy poszumu wierzb — nie nadsekwańskich, tylko nadwiślańskich — tego, którego pomnik uzmysławiający moment podchwytywania onego poszumu, a zdobiący Łazienki, wymodelował rzeźbiarz Szymanowski, z rodziny utalentowanych frankistów (Żydów) polskich, słynnej ze swych prawników, muzyków, i plastyków, którymi się ...NARÓD POLSKI chlubi. Zaś na poprzednim konkursie chopinowskim też coś-nie-coś z pierwszych nagród otrzymali Imre Ungar (Żyd węgierski) i ś. p. Bolesław Cohn(nazwisko niezupełnie chyba sarmackie).

Zdawałoby się, że skoro samoobrona kulturalna — to już na całej linii. Bo jeżeli trzeba się bronić, — to widocznie tamta, agresywna kultura jest tak odrębna, że może zupełnie zdeformować tę rodzimą. No, a chyba te wierzby smętne nad szarą Wisełką, i ten dworek modrzewiowy, i te odruchy na wieści z pod Stoczka i Ostrołęki i z pod Olszynki Grochowskiej — to wszystko tony swojskie, narodowe. A tu hurmem Żydy. Nie tylko krajowe, obłaskawione, ale razmaite węgierskie, bolszewickie, a — zdaje się — i francuskie.

Słowem — od Żyda się nie wykręcisz. Wyrzuć go drzwiami, to wlezie oknem. I to jakie żydy wtrącają się do „narodowej” kultury, narzucają jej swoją interpretację geniuszów ducha polskiego? Węgierskie, Sowieckie. Trochę mechesowate polskie. Horrendum!

A może tu nie o ducha narodowego polskiego chodzi? Może dlatego Żydzi tak dobrze odczuwają i interpretują Chopina, że on sam coś wspólnego ma z Żydami? Może ta jego rzewna tęskliwość i te nieutulone łkania, i te czasami swobodne wybuchy rokokowego temperamentu — to nie wierzby nadwiślańskie, nie dworki modrzewiowe, nie panienki biedermayerowskie, — a odwieczne, głęboko gdzieś w duszy drzemiące żydowskie tony, nuta tęsknoty narodu w rozsypce, beznadziejności golusowej i radosnych wybuchów chwilowej nadziei. Bo coś kiedyś gdzieś czytałem, że Chopin to nie Chopin, a sfrancużone Schoppen czy nawet Schoppenfeld... I że tam z ojcowskiej strony było coś podobnego, co u Mickiewicza i Słowackiego z macierzyńskiej? Nie wiem, czy to prawda; pozostawmy to do zbadania d-wi Miesesowi, — on już wynajdzie.

Bo tak jakoś się dziwnie składa na tym bożym świecie, że jak się zaczynasz grzebać w rodowodach i w sztuce (o nauce już nie mówię nawet), to się zawsze dogrzebiesz do... Żyda. Ot, dopiero co użydzono Wagnera. A stąd krok już tylko do stwierdzenia, że autorem mitu o Niebelungach był też Żyd... Co wtedy powie Goebbels i Frank, Goering i Streicher? Innych obawiam się wspomnieć po imieniu. Zresztą nie są zanadto „gramotni.”

Niech tam... Mniejsza z tym... Może się toczyć spór o to, czy Kolumb był Włochem, czy Hiszpanem ,czy też poprostu marranem (t. zn. Żydem) hjszpańskim, osiadłym we Włoszech... Może się toczyć spór o to, czy Wit Stwosz był Polakiem, czy też był on poprostu Veit Stoss, rodowity Niemiec... Takoż Kopernik, — nie wiadomo co to za ptaszę... A i sam na własne oczy widziałem — nie pamiętam tylko, czy w Kaiser-Fridrichs-Museum czy w National-Gallerie w Berlinie, pod rzeźbą znanego polskiego rzeźbiarza pysznił się nadpis: „von unzerem grossen deutschen Bildhauer...” Poporostu zaanektowali go sobie Niemcy (jeszcze na długo przed Hitlerem).

Ale fakt faktem: kultura, jako dobro, ochronić się nie da. Kultury można bronić tylko, jako ofiary, przed uciskiem obcej przewagi fizycznej. Przed preponderancją obcego ducha nie masz ochrony. Chyba tak tylko, jak Indianie południowo-amerykańscy: burzyć. Zebrali się w 1000 luda i zburzyli tor kolejowy w Brazylii, popalili dworce i wymordowali, Bogu ducha winnych, kolejarzy. Obronili się przed duchem cywilizacji. Ale i to nie na długo, — bo podobno rząd brazylijski ma im tam dać parę setek tysięcy milrejsów, to się uspokoją. I łaskawszym okiem na cudzego ducha kultury spoglądać będą....

Lub też palić na stosie książki. Ale to nie wiele pomoże. Palili w Berlinie i palili w Norymberdze. Palili Heine'go i Börne'go, palili Lassala i Marksa, — sądzili, że naród niemiecki zdziczeje... I nic z tego nie wyszło. Świat nadal uwielbia kulturę niemiecką, uważając za jej przedstawicieli Heine'go i Börne'go, Menedelsohna i Maimona, Manna i Wassermana, — a nie tych rozmaitych nominowanych eunuchów duchowych ze swastyką na ramieniu.

Ha! może nam odpowiedzą: i czegóż Pan zawracasz głowę? My tu mówimy o samoobronie kulturalnej, a Pan bujasz w sferze naszego kulturalnego imperializmu... Przecież, gdy kto nam narzuca swoją kulturę — to jest źle, ale gdy ja komu moją kulturę narzucam — to jest dobrze. To już hotentoci światu wytłumaczyli, co jest dobre, a co złe... Skoro na chopinowskie konkursy zjeżdża się świat cały, od brzegów Atlantyku aż do drzemiącego w wiśniowym kwiecie Nipponu — to znak, jak daleko nasz duch zawędrował, jak inne ludy podbił...

A, — przepraszam... Ale to niezupełnie tak... Muzyk tworzy, ale dopiero odtwórca należytą formę mu nadaje... To tak, jakby czyjejś portaci nadać należytą barwę cery, wpuścić jej krew do żył. Twórca urodził, — wykonawca wychował i ukształtował. Może to jest wzajemne oddziaływanie kultur?... Owszem. Ale to nie podbój, nie imperializm duchowy. I z drugiej strony nie upadek, nie kapitulacja ducha pod obcym zaborem.

A zresztą — nie ulega wątpliwości: Chopin podbił świat. Podbił go i Mickiewicz. Podbiła i Curie - Skłodowska. I Reymont. I Siemiradzki... Oni podbili świat. Nie podbije go adw. Kowalski z Łodzi. Nie podbije go ks. Trzeciak. Ani poseł Budzyński, wraz z Dudzińskim, Bakonem i Hoppe'm. Ani nawet prof. Rybarski, czy Mosdorf, czy Bielecki, ani też Miedziński. Ale Chopin podbija. I Chopin nie potrzebuje „samoobrony kulturalnej.” On się obroni bez pomocy. I nawet Żydzi w niemym uwielbieniu czoła przed nim pochylą. Ale twórcom teorii przytyckich i odpowiednio wysokich poziomem tworów ducha czy to w poezji, nauce czy w sztuce — nie pomoże żadna samoobrona kulturalna. Zawsze ulegną. Wytwory wzniosłego ducha żydowskiego zawsze będą cenione wyżej od nich, czy to na całym świecie, czy nawet w Polsce samej. A oni je małpować będą, popełniać bedą plagiaty — i dorównać nie potrafią. Zaś mimo całego nawoływania do „samoobrony kulturalnej” sami nawołujący będą o tych Żydach pisali zawsze z dumą (zwłaszcza w enuncjacjach zagranicznych): n a s z w i e l k i r o d a k, nasz np. Huberman. Bo wtedy stajemy się naraz „nasi”.

BEN—LEWI

Inż. A. Glizer

Jeżeli wybuchną rozruchy...

(Korespondencja własna „Steru" z Palestyny)

Jeżeli wybuchną ponownie rozruchy w Palestynie, zostanie natychmiast ogłoszony stan wojenny i generał Dill, który z tego właśnie względu nie wraca do Anglii, obejmie władzę w kraju. Tak zapewnia kategorycznie rząd, przy każdej okazji dyskusji z przedstawicielami Żydów na tematy bezpieczeństwa. Generał Dill ze swej strony robi wszystko, aby go ów ewentualny dzień wznowienia rozruchów nie zastał nieprzygotowanym. Nie należy, zdaniem sfer rządowych i wojskowych oczekiwać niczego poważniejszego przed ogłoszeniem sprawozdania Komisji Królewskiej. Tym niemniej wojsko nie da się zaskoczyć i przez wcześniejszy wybuch, na który jest zdolny każdej chwili odpowiedzieć.

Trzeba przyznać, że w powyższych twierdzeniach jest dużo więcej zgodności ze stanem faktycznym, niż zwykliśmy na ogół w twierdzeniach rządu palestyńskiego znajdywać. Prawdą jest, że wojsko przygotowuje się bardzo poważnie do ewentualnego przyszłego starcia. Jest teraz w Palestynie 4-5 razy tyle żołnierzy, co w chwili wybuchu rozruchów w 1936r. Całe to wojsko jest w kraju od szeregu miesięcy i zdążyło poznać warunki miejscowe. Nie powtórzy się więc sytuacja z roku 1936, kiedy oddziały były zmuszone natychmiast po opuszczeniu okrętów uczestniczyć w walkach partyzanckich w zupełnie obcym kraju. W międzyczasie zdążył też Dill ze swym sztabem przestudjować warunki strategiczne Palestyny, przygotować szereg fortyfikacji i wymóc na rządzie budowę szeregu dróg.

Pod naciskiem Żydów i przy poparciu wojska nastąpiła też radykalna zmiana w sprawie udziału ludności żydowskiej w służbie bezpieczeństwa. Wiadomo, że w czasie rozruchów roku 1929 np. nie było w Palestynie żadnej legalnej samoobrony żydowskiej. Przeciwnie, rząd odebrał broń tym nielicznym Żydom, wśród nich nawet wysokim urzędnikom państwowym, którzy posiadali na nią zezwolenia. W ciągu ostatnich rozruchów zdołała Agencja Żydowska wymóc na rządzie utworzenie żydowskiej policji dodatkowej. W ostatniej fazie wypadków doszła liczba policjantów specjalnych, „gafirów", jak się ich popularnie w Palestynie z arabska nazywa do 3.000 we wszystkich miejscowościach żydowskich w kraju. Po zakończeniu rozruchów chciał rząd rozwiązać tę policję nadetatową. W odpowiedzi na sprzeciwy próbował stawiać warunki w rodzaju tego, aby dopomóc mu w odebraniu broni, posiadanej przez Żydów poza policją. Można się domyśleć, jak wypadła odpowiedź. Tym nie mniej policja dodatkowa pozostała. 750 osób znajduje się nadal w służbie czynnej, broń reszty znajduje się także w koloniach żydowskich, ludzie zaś dzielą się na 2 dalsze grupy: 750 osób można zmobilizować w ciągu 2 godzin, a 1.500 w ciągu 24 godzin. Obecnie powiększa się tę policję specjalną do 6.000 osób. Szkolenie tej małej armji przejmuje częściowo wojsko. Wszystko to oczywiście poza normalną policją, w której liczba Żydów znacznie wzrosła i jeszcze wzrośnie, oraz poza strażnikami, których normalnie kolonie posiadały i których jest teraz także dużo więcej, niż dawniej.

Nie na tym koniec. Ocena wartości i postawy żydowskiego „gafira" przez wojsko i angielską komendę policji jest na podstawie wrażeń i doświadczeń roku ubiegłego tego rodzaju, że wojsko postanowiło przekazać Żydom szereg zadań, którymi było w roku zeszłym obciążone, aby zadowolić w ten sposób wszystkie swe siły dla operacji decydujących. Tworzy się obecnie specjalny korpus ochrony kolei żelaznych, złożony z Żydów narazie w liczbie 700. Zakłada się sieć posterunków policyjnych wzdłuż wszystkich szos. Obsadzi je policja regularna, ale ze szczególnie silnym udziałem Żydów. Wzdłuż północnej granicy Palestyny buduje się obecnie na żądanie wojska szosę. Sieć strażnic, które tu powstaną, jest przeznaczona dla specjalnego oddziału ochrony granicy palestyńsko-syryjskiej, który będzie się składał z Żydów.

Nie ulega wątpliwości, że i krańcowe koła arabskie czynią wszelkie możliwe przygotowania, aby nadać następnemu swemu wystąpieniu charakter groźniejszy, niż miało poprzednie. Ćwiczy się ludzi, przemyca do kraju broń, technicznie wyżej stojącą od tej, którą się arabowie dawniej posługiwali. Mufti chciałby, aby akcja została podjęta po ogłoszeniu sprawozdania komisji Peel'a, jako odpowiedź na ewentualne niekorzystne dlań zalecenia Komisji. Grupy terorystyczne, istniejące wśród młodzieży arabskiej, te same, które zorganizowały wybuch w Jaffie 19-go kwietnia r. ub., a na których czele Mufti z właściwym sobie sprytem, bezceremonjalnością i brakiem skrupułów wnet stanął i nadal patronuje, — grupy te wolałyby oczywiście rozpocząć choćby zaraz, argumentują, że warto wywrzeć zawczasu dodatkowy nacisk na Komisję, jeszcze zanim wnioski jej zostaną sformułowane. W każdym razie zarówno mufti, jak i „młodzież", zgodzą się, że trzeba zrobić wszystko, aby nowe wystąpienie wypadło jak najlepiej.

Problem, który w tym miejscu się rodzi, nie należy do łatwych. Wolno współczuć panom, którzy stoją przed dylematem: efektownie czy efektywnie. Dla wywołania wrażenia w wielkim świecie dobrze jest ponowić wielką inscenizację strejku powszechnego, wojny partyzanckiej, bitew z wojskiem, napadów na osiedla żydowskie. Warto rozszerzyć strajk i na służbę państwową, port haifski, koleje i t. d. Trzeba wzmocnić uzbrojenie, pomnożyć kadry, wyszkolić je, aby móc skutecznie walczyć z wojskiem, atakować dużą ilość kolonii naraz i t. d. Wszystko to się przygotowuje. A jednak... Doświadczenie roku ubiegłego i zmiany, które od owego czasu zaszły (rozwój portu w Tel-Avivie, zwiększony udział Żydów w robotach portowych w Haifie, budowa szeregu szos na terenach kolonizacji żydowskiej, przygotowania na kolejach, wzmożenie niezależności Żydów od gospodarstwa arabskiego w dziedzinie aprowizacji i t. d.), wszystko to wskazuje, że rezultatem strejku może być tylko jeszcze większa ruina życia gospodarczego arabskiego i jeszcze mniej szkód dla tych, którym się chce zaszkodzić. Podobnie w dziedzinie „wojennej": zmiany, któreśmy w pierwszej części dzisiejszego artykułu zreferowali, dają Arabom, nawet po uwzględnieniu ich przygotowań, bardzo mało szans na większą skuteczność ich napadów na kolonie, niż w roku ubiegłym, kiedy wszystkie bez wyjątku zakończyły się niepowodzeniem, albo na osiągnięcie tego nawet, jakże względnego, minimum powodzenia, które im utarczki z wojskiem w roku zeszłym (nie bez decydującej winy taktyki rządu) przyniosły, przede wszystkim oczywiście w tym, że udało im się ciągnąć rozruchy przez pół roku prawie i zakończyć je bez jawnej klęski. Trudno oczekiwać, aby Anglicy dopuścili do tego rodzaju powtórnej kompromitacji swego, i tak dosyć na wschodzie nadszarpniętego, autorytetu wojskowego. Widzieliśmy, że przygotowania gen. Dilla, napewno zainteresowanym Arabom nie obce, zapowiadają raczej coś wręcz przeciwnego.

W tych warunkach nabiera uroku druga ewentualność: metoda teroru indywidualnego, napadów z zasadzki na jednostki, zamachów bombowych i t. d. Od tego zaczęły się wypadki zeszłoroczne jeszcze przed powstaniem grup partyzanckich, teror ten trwał bez przerwy przez cały okres „wojny w górach" i nie wygasł także, zwłaszcza wewnątrz społeczeństwa arabskiego, i po zakończeniu strajku i gerylasówki. Kontynuować go, skierować bardziej w stronę Żydów, ewentualnie rozszerzyć, nadać charakter masowego teroru indywidual. to nie jest contradictio in adiecto przy arabskim ujęciu teroru jednostkowego), może nie zadowolnić się także napastowaniem Żydów, tak, jak się nadarzą, lecz próbować również zamachów na przywódców żydowskich, — oto gotowy program. Ryzyko z nim związane jest znacznie mniejsze, a skutki, liczą teroryści może i większe: utrzymanie nieustającego stanu napięcia w kraju a więc nowe argumenty dla teorii, że Anglja musi udobruchać Arabów, a więc trudności dla Żydów i — zahamowanie pędu do inwestycji, imigracji i rozwoju, a może nawet wyprowadzenie ich z równowagi i sprowokowanie do porzucenia dotychczasowej taktyki, czyli do wojny wszystkich przeciw wszystkim, a więc wreszcie — last but not least — pogłębienie panowania terorystów w życiu arabskim. Są znaki, że w tym właśnie kierunku rzeczy się rozwijają.

Sprawa tak postawiona przestaje być zagadnieniem natury wojskowej. Jeżeli rząd zdobędzie się na odwagę polityczną, której dotąd nigdy nie objawiał, może położyć kres rozpoczynającej się od nowa bakchanalii terroru. Nie jest tajemnicą, kim są teroryści, ani tym bardziej, kto nimi kieruje i w czyim ręku skupiają się nici. Rząd palestyński jest w stanie zlikwidować zorganizowany terror arabski, ale do tego trzeba zerwać z całą dotychczasową taktyką karania (najwyżej raz na sto), ślepego miecza, a honorowania ręki.

Nie widać dotąd niestety żadnej zmiany w tym kierunku. Jeżeli wybuchną rozruchy... Wtedy Dill obejmie władzę i t. d. Ale to, co jest, to przecież nie są rozruchy. Spoczywajże, władco, na laurach i strzeż przesławnej równowagi. A nie zapomnij, zamykając arabski dziennik na tydzień za podżeganie, zamknąć przy okazji i żydowskiego! To ważne!

Tel-Aviv, 12-3. 1937r.

MORTKOWICZÓWNA, FARAGO I OPATOSZU O PALESTYNIE

H a n n a   M o r t k o w i c z: W Palestynie, obrazy i zagadnienia. Fotografie Edwarda Poznańskiego. Towarzystwo wydawnicze w Warszawie 1937.

Z okrętu „Polonia", rozkołysanego zielonymi falami morza i rozśpiewanego pieśniami chaluców, zstąpiła Hanna Mortkowicz w twardą rzeczywistość palestyńską. Były to dni niezwykle „gorące" i brzemienne w wypadki. Na ulicach Jerozolimy i Haify eksplodowały bomby. Tajemnicze ręce przerywały nocą telegraficzne druty i niszczyły kolejowe nasypy. Autobusy, kursujące po szosach palestyńskich, obsypywano gradem kul. Pastwą terorystów padały drzewa, ogrody i pardesy. Jiszuw nie reagował. Z zimnym uporem kontynuował dzieło odbudowy. Po nocach strzegł — w dzień pracował. W tej spokojnej postawie społeczeństwa żydowskiego nie było śladu owej przysłowiowej nerwowości, cechującej Żydów ghetta. Była to raczej spokojna postawa autochtonów, na śmierć i życie złączonych z ziemią i krajem. Zbrodniczym i rozpasanym instynktom przeciwstawiła się sprężysta organizacja, niezłomna wola i konstruktywny wysiłek. Hanna Mortkowicz, już w pierwszych dniach pobytu w Palestynie, przechadzając się ulicami słonecznego Tel-Awiwu, dostrzegła ową głęboką przemianę, jaka dokonała się nie tylko w zewnętrznym sposobie bytowania Żydów, ale przede wszystkim w ich psychice. Pod wysokim niebem palestyńskim pierzchły wszystkie nawyki i przyzwyczajenia, hodowane w ciągu długich lat w mrocznych pasażach Nalewek, zniknęły bezpowrotnie ułomności duchowe i fizyczne ludzi z Pawiej i Smoczej. Tani blichtr Bielańskiej nie mógł już pomieścić się w tym nowym życiu, gdzie najwyższym szczęściem jest ziemia i zwykła, chłopska troska. Hanna Mortkowicz dostrzegła od razu, gdzie płynie najgłębszy nurt życia palestyńskiego. Chlubą jego nie są lśniące gładkim asfaltem ulice Tel-Awiwu, ani wspaniała stacja Rutenbergowska nad Jordanem, ani eksploatacja soli potasowych na pustynnym brzegu Morza Martwego, ani wielkie laboratoria rolniczej stacji doświadczalnej w kwitnącej kolonii Rechobot. Chlubą jego i dumą — to szerokie, szare pola Emeku, nieefektowne chłopskie domy, kurniki, pełne trzepotu kur, warzywne ogrody, szopy gospodarskie. „W Nahalal dojono krowy, w Ramat Dawid dymy strzelały z nad płaskich dachów. W Kfar Gideon ciemni zziajani ludzie w szafirowych koszulach ściągali powoli z pól na posiłek. W Merchawii wypróbowano nowy traktor" — oto głęboka, wzruszająca prawda o Palestynie. W ciągłym, codziennym trudzie przeorana została nie tylko pełna moskitów i malarii ziemia Emeku, ale także psychika żydowska, dotknięta może bardziej niebezpieczną plagą niż moskity — bo długoletnią niewolą i upodleniem. Byliśmy zawsze „specami" w obchodzeniu tragicznych rocznic, w organizowaniu żałobnych akademii, w demonstrowaniu naszego bólu. Na ziemi palestyńskiej przekreśliliśmy tragizm naszego życia. Co raz częściej smutek, nawet głęboki i serdeczny ustępuje radosnemu rytmowi pracy. Hanna Mortkowicz przybyła do Tel-Awiwu w chwili, gdy całym miastem wstrząsnęła wieść o nagłej śmierci Sokołowa. Nikt jednak rąk nie załamał w tragicznym, bolesnym geście, nikt nie poddał się rozpaczy ani żałosnym rozpamiętywaniom. Dzień płynał dalej zwykłym, normalnym trybem. Nikt w Tel-Awiwie tego dnia nie płakał. Dopiero nazajutrz płakali mieszkańcy Tel-Awiwu, ale z innej zupełnie przyczyny. Tego bowiem dnia wyładowano pierwszy ładunek w telawiwskim porcie. Przez białe, rozszalałe triumfem ulice, wieziono ten pierwszy ładunek — worek z cementem — do Muzeum. Było to może najpiękniejsze uczczenie pamięci Sokołowa.

Książka Hanny Mortkowicz nie ma charakteru reportażu, lecz jest w najlepszym stylu książką podróżniczą. Obrazy i wycinki życia palestyńskiego, odtworzone z niezwykłym realizmem i plastycznością, pełne są szlachetnego liryzmu i wnikliwej refleksji. Opisy przyrody, tak charakterystyczne dla książek podróżniczych, nie spełniają tutaj roli wyłącznie dekoracyjnej, lecz wplątane w dzieje walk i zmagań Żydów o nowe formy życia, są niejako czynnym elementem tej nowej epopei, która rodzi się na naszych oczach w rytmie pracy i w trudzie walki. Wspaniała polszczyzna Hanny Mortkowicz, jej zdanie melodyjne, subtelnie wycieniowane w najdrobniejszych niuansach, umiało oddać nastrój zarówno biblijnego pejzażu, jak i radosnej pracy w kwucach, koloniach i na rusztowaniach. Tekst książki ilustrują pełne wyrazu i ekspresji doskonałe zdjęcia fotograficzne Edwarda Poznańskiego.

L a d i s l a s   F a r a g o: Palestyna na widowni. Tom I. Tom II. Palestyna płonie — Wydawnictwo współczesne Warszawa 1937.

Ladislas Farago jest przede wszystkim świetnym reportażystą. Może nie tej miary, co „szalejący reporter" Kisch, Knickerbocker lub Zischka, ale w każdym razie jeden z owej nielicznej grupy mistrzów, którzy śmiało uchodzić mogą za najlepszych reportażystów świata. Ten niewielki pas ziemi, zamknięty między Jordanem a Morzem Śródziemnym, fascynował widać niezwykle dziennikarza angielskiego, skoro natychmiast po upadku Abisynii, nie wracając wcale do Londynu, udał się w samo zarzewie buntu arabskiego i w samo serce żydowskiej Palestyny, wstrząsanej tragicznymi wypadkami ostatnich miesięcy. Ze spokojem, właściwym każdemu Anglikowi, analizuje Farago przyczyny ostatnich wypadków, tłumaczy ich dynamikę i rozpiętość, wskazuje na co raz bardziej pogłębiający się antagonizm i na możliwości jego złagodzenia. Według Faragi Palestyna jest dzisiaj tym dla świata, czym dawniej były Bałkany dla Europy. Krzyżuje się tu bowiem polityka wielkich mocarstw o wpływy na Bliskim Wschodzie. Zbiegają się tutaj interesy i ambicje najrozmaitszych państw arabskich, a przede wszystkim silna i zdecydowana postawa Żydów przeciwstawia się brutalnym zakusom terorystów, co wywołuje niepokój i bezustanne wrzenie. Ciekawe, a czasem wręcz rewelacyjne rozmowy Faragi z przedstawicielami żydowskimi i arabskimi, wnikliwa charakterystyka tych postaci, kierujących życiem w Palestynie, przynoszą wiele cennego materiału informacyjnego i pozwalają zorientować się w nastrojach obu walczących narodów. Zestawiając wywody i pretensje prowodyrów arabskich, z logiczną konsekwentnie wypracowaną myślą polityczną i ekonomiczną przedstawicieli żydowskiej pracującej Palestyny, dochodzi nawet tak objektywny obserwator jak Farago do wniosku, że państwowe aspiracje Arabów mogą równie dobrze, a może nawet z większym powodzeniem, wyżyć się w Iraku, w Saudii, Syrii, Transjordanii, w Egipcie — dla Żydów natomiast pozostaje wyłącznie Palestyna. „Nadaremnie — pisze Farago — szukałem w oczach Szertoka fanatycznego spojrzenia Muftiego." Istotnie. Mojżesz Szertok nie ma w sobie nic z rebelianta, z fanatyzmu tych, którzy w ukryciu strzelają do tłumu, wychodzącego z kina. Mojżesz Szertok jest pracowitym, spokojnym człowiekiem, który zajął w życiu budującej Palestyny bardzo odpowiednie stanowisko po tragicznie zmarłym Chaimie Arlosorowie. Szertok pokazał angielskiemu dziennikarzowi wszystkie wspaniałe zdobycze Palestyny, szkoły i szpitale, biblioteki publiczne i domy robotnicze, teatry i kolektywy.

Mufti mógł mu conajwyżej pokazać — zaciśniętą pięść i kindżał.

Między niewygodnym i niefrasobliwym życiem wodzów arabskiego powstania, którzy nawet na rzekome wygnanie do Audżat jadą wspaniałym Rolls Roycem, a warunkami bytowania szerokich rzesz spauperyzowanych Arabów, — leży przepaść głęboka i nie do przebycia. Powtarza się odwieczna prawda. Żydzi podnieśli standard życia w Palestynie, powiększyli płacę robotników i wprowadzili ubezpieczenia socjalne. Arabski robotnik nie chce pracować więcej na polach Muftiego za cztery piastry dziennie. To wielkie niebezpieczeństwo dostrzegli od razu obszarnicy. Stąd — „wojna święta" przeciwko Żydom, dlatego leje się krew na ziemiach żydowskiej Palestyny. Oczywiście tylko w zasadniczych swych rysach przedstawia się ów konflikt tak prosto i nieskomplikowanie. Ale zasługą Faragi jest właśnie rozłożenie owego kompleksu zagadnień na pierwiastki najprostsze, już więcej niepodzielne. Było to zadanie tym trudniejsze, że w okresie, gdy przebywał Farago w Palestynie narastały te antagonizmy z wielka siłą i mocą i były „in statu nascendi." Gdy opuszczał Palestynę — kraj był jeszcze w ogniu. „Odgłosy strzałów karabinowych i światło reflektorów — oto efekty sceniczne, którymi żegnała nas Palestyna."

Reportaż Faragi czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem i gdyby nie bardzo niedbały i jakby „na kolanie" spreparowany przekład — czytałoby się go również z wielkim zadowoleniem.

J ó z e f   O p a t o s z u: Cwiszen iemen un lender. (Podróż do Palestyny) Literarisze Bleter. Warszawa 1937.

Objaw niezwykle charakterystyczny: Józef Opatoszu, jeden z najgłośniejszych pisarzy żydowskich, autor wielu wspaniałych i tęgich tomów prozy, po powrocie z Palestyny wydał małą, niepozorną książeczkę, której objętość nie przekracza nawet stu stronic. A co ciekawsze: prze wszystkie rozdziały tej skromnej książeczki przebiega ponury cień, oraz — niczym niewytłumaczony i żadnym nie poparty argumentem — ton minorowy. W wielkim zdumieniu śledzimy rosnące co raz bardziej niezadowolenie i rozczarowanie pisarza do wszystkiego, co tworzy się w Palestynie i — nadaremnie szukamy jakiegoś druzgocącego argumentu, przekonywującej tezy, która narzuciłaby nam również ów nastrój smutny i przygnębiający w jakim znajdował się Opatoszu przez cały czas pobytu w kraju nad Jordanem. Niewątpliwie w Palestynie jest jeszcze wiele spraw i zjawisk nieskrystalizowanych. Naród, który po dwóch tysiącach lat wraca do swej ojczyzny, nie może od razu oprzeć wszystkich dziedzin życia na zdrowych i niewzruszalnych fundamentach. Z klęsk i doświadczeń teraźniejszości rodzi się dopiero jego przyszłość. Zwłaszcza w Palestynie, gdzie każda piędź ziemi okupywana jest potem i krwią, trudem serdecznym i pracą niezmożoną. Nawet najbardziej zagorzali przeciwnicy i wrogowie żydowskiego dzieła odbudowy, przyznać muszą, że to, czego Żydzi dokonali w Palestynie — jest wielką manifestacją i triumfem ducha żydowskiego, jest wyrazem jego żywotności i nieustępliwej chęci życia i wytrwania. Opatoszu natomiast widzi w tym wszystkim — wykoślawienie dążeń i ideałów wielkich mas żydowskich. Że nie tego domagano się w Palestynie. Że spodziewano się czegoś wręcz przeciwnego. I Opatoszu wysuwa bardzo dziwaczną pretensję: czemu stał się w Palestynie panującym... język hebrajski. Dlaczego nie żydowski? — pyta dalej. Dlaczego właśnie nie żydowski? — powtarza przy każdej okazji z dziwnym uporem człowieka, który chce bronić beznadziejnej sprawy, ale nie może znaleźć dla niej odpowiedniej argumentacji i logicznego uzasadnienia.

Szomer z kolonii Ejn-Charod wytłumaczył mu w prostych słowach dlaczego hebrajski stał się językiem odrodzonego żydostwa i odrodzonej Palestyny.

— W dzień często wymykają się z ust słowa żydowskie i rosyjskie. W nocy jednak, kiedy przyjdzie ruszyć na pozycje — tu wskazał palcem pasmo gór — w nocy, gdy pod tobą koń, a w ręku karabin, a noc jest ciemna i głucha — wtedy góry Gilboa mówią do mnie tylko po hebrajsku.

Ale dla Józefa Opatoszu obce jest uczucie organicznej łączności człowieka z ziemią i górami, dlatego wynajduje kogoś, kto bardziej przemawia do jego przekonania. Oto człowiek klęczy, wśród polnych zagonów. Na zapytanie, czy czuje się szczęśliwy pracą na roli, odpowiada z goryczą, że tylko obcy może mieć takie wysokie pojęcie o codziennej „harówce" na polu. Przez cały czas czytania tej książki ulegamy wrażeniu, że autor szukał na gwałt „dziury w całym" że przyjechał tu taj już z góry ułożonym planem przedstawienia Palestyny wyłącznie w cieniu, eliminując skrupulatnie wszystkie jej blaski, wszystkie piękne przejawy jej życia. Książki Opatoszu nie można nazwać pamfletem przeciwko Palestynie, chociażby dlatego, że wymowa jej jest zbyt słaba i ani trochę przekonywująca. Jest ona przede wszystkim wielkim nieporozumieniem, wyrosłym niewątpliwie z pobudek natury czysto osobistej, z egoistycznego punktu widzenia. Opatoszu tworzy w języku żydowskim, dla którego nie ma miejsca w Palestynie. Jest to może większa troska o przyszłość własnych dzieł, niż o przyszłość kultury narodu. Szalom Asz pogodził się zupełnie z myślą, że w Palestynie panować będzie niepodzielnie hebrajski. Wyczuł bowiem ów związek tajemny, łączący język Biblii z ziemią i życiem w tym kraju.

Jest to coś więcej, niż przyzwyczajenie, jest to konieczność dziejowa, by na ziemi palestyńskiej kwitła i rozwijała się kultura hebrajska. I żadne utyskiwanie najrozmaitszych panów z „tamtej strony barykady" pomóc tu nie mogą i tego oczywistego faktu nie są w stanie zmnienić! Ciekawe tylko, czy w chwili, gdy Opatoszu zawierał kontrakt z wydawnictwem Styb'a w sprawie napisania kilku hebrajskich książek pamiętał o swych animozjach do języka hebrajskiego?

Zresztą — wybaczmy wielkiemu pisarzowi Opatoszu — wszystkie te przewinienia. Może w istocie czuł się zagrożony w swej pozycji w obliczu nowej, palestyńskiej kultury? Jeden z tych nieszczęśliwych ludzi, dla których nawet Palestyna jest — galuthem!

LEON BAUMBERG.

Roman Brandstaetter

ŻANDARM ŻYDOWSKIEJ KRWI

Przykre refleksje owładnęły mną, w czasie czytania artykułów p. Mateusza Miesesa pt. „Polacy chrześcijanie pochodzenia żydowskiego" — drukowanych obecnie w kilku pismach żydowskich. Autor kompilacji, w ogłoszonych dotychczas rozdziałach stara się wykazać, że w żyłach polskich rodów szlacheckich płynie krew żydowska, czyli, że herbarz polski jest właściwie Almanachem de Semighota. Nic dziwnego więc, że po przeczytaniu „rewelacyj" wzmiankowanego historyka, poczułem w sercu wielki i niesamowity niepokój; nie wiedziałem bowiem, czy mam radować się, że np. hrabia Branicki jest moim kuzynem, czy też powinienem może ręce z rozpaczy załamać nad tym — wątpliwej wartości dla mnie powinowactwem. Diabeł piwa nawarzył! I cóż z fantem zrobić!

Ale nie chodzi o mnie. Sprawy te zazębiają się bezpośrednio o stokroć ważniejsze zagadnienia. Zapytajmy zatem, jaką wartość przedstawiają wywody p. Mateusza Miesesa w świetle historycznych i aktualnych problematów żydostwa polskiego? P. Mieses, posługując się źle dobranym i nieskontrolowanym materiałem historycznym, często fałszywie komentowanym, snuje różne hipotezy genealogiczne, wodniste i mgliste, będące chyba jedynie dowodem chaosu, panującego w dziedzinie rodowodów polskiej szlachty. Te sprawy — choć pozornie zazębiają się o historię — nic właściwie nie mają wspólnego z nauką. P. Mieses naiwnie zaznacza: *„Szkoda rzeczywiście, że Branicki nie podał do wiadomości skąd się wzięła ta kropla krwi żydowskiej w żyłach hrabiów Tarnowskich i Branickich. Nauka byłaby bogatszą o pewne ciekawe wiadomości."*

Nonsens! Te „ciekawe wiadomości" działają może jedynie na fantazję Balbinki z Bielańskiej, która w chwilach wolnych od zajęć kawiarnianych, ciepłą łezkę sentymentu roni nad żydowsko-polską sielanką rozpłodową. Nie rozumiem więc, w jakim celu nasz historyk poszukuje krwi żydowskiej w żyłach różnych Polaków. Nie rozumiem po co gmera żydowski plutarch po sypialniach różnych aryjskich matron i pęta się po zacisznych korytarzach, zaglądając niedyskretnie do buduarów nobliwych matek, kumających się z różnymi Żydami. Po co ta cała penatracja i jaki jej sens? Kogo u licha obchodzi, że pan na Psich Wronkach miał prapraprababkę Matyldę, która wielki afekt czuła do mecenasa Schmelkesa? Czyż nas tak bardzo rozczula „dumna" świadomość, że Kunegunda Lubomirska wyszła za mąż za porucznika uzarów Stanisława Smokowskiego, który właściwie nazywał się Szlama Sznorer i pochodził z Pyzdra? Czyż ewentualnie niezbity fakt, że imć pan Czerep tłamsił się z jakąś Esterką, zmienia lub pogłębia sens naszych dziejów na ziemiach polskich? Czyż poprzez rzekomą żydowską krew mociumpanadzieja Chrzanowskiego, obrońcy Trembowli, my Żydzi, zamieszkali na ziemiach polskich, osiągamy bardziej rozległe prawa historyczne? Czyż dzięki temu, że w żyłach hr. Branickiego płynie mikroskopijnie mała kropelka żydowskiej krwi — wzmacniamy naszą pozycję polityczną, gospodarczą i społeczną na ziemiach polskich w zakresie współczesnych nam postulatów walki o równouprawnienie. Nie! Nasze prawa na ziemiach polskich nie wynikają ze skrzyżowania polskiego i żydowskiego elementu etnicznego; prawa te biorą swój początek w autochtonicznym wkorzenieniu się, przed dziesiątkami wieków, Żydów polskich w polskie ziemie, których przecież nadwiślańscy słowianie też nie przynieśli z sobą z nieba, lecz nabyli siłą dziejowej tradycji. Ewentualną



więc przymieszkę krwi żydowskiej, płynącą w żyłach polskich karmazynów, nie wolno identyfikować z naszym wkładem kulturalnym, którym obdarowaliśmy ducha dziejów polskich. Stworzyliśmy w Polsce własną wysoką kulturę, ofiarowaliśmy kulturze polskiej wielu synów, konaliśmy za wolność Polski na polach bitew, nasza kultura duchowa natchnęła niejednego Mickiewicza, a mesjanizm żydowski stał się podstawą wiary polskiego mesjanizmu. To są nasze niezniszczalne dokumenty kulturalne i polityczne, które świadczą najdowodniej o sile żydostwa polskiego, które właśnie dziś w imię swoich historycznych świadectw bohatersko walczy o należne mu prawa! Natomiast motyw „zażydzenia polskiej szlachty" jest tylko płytkim, niepoważnym sposobem podejścia do palącego zagadnienia od strony najmniej dla nas zaszczytnej, najmniej historycznie ugruntowanej, najmniej historycznie odpowiedzialnej. Bluff! Spójrzcie na wywody p. Miesesa przez kurzawę walki o równe prawa żydostwa polskiego, oblężonego dziś przez antysemicką armię. Zapienionemu wrogowi, napierającemu zawzięcie na Żydów i odmawiającemu nam równych praw obywatelskich — p. Mieses, pozbawiony zupełnie zmysłu logicznej taktyki, przeciwstawia naiwnie sformułowaną tezę o pochodzeniu żydowskim polskiej magnaterii! Wróg patrzy z przerażeniem na żydowskiego Filipa z Konopi, przeciera oczy i bez pardonu odparowuje wywody jego zdrowym knockautem: odsyła naszego historyka do domu zdrowia, jak to właśnie uczynił dziennik oenerowski „A.B.C.". Na domiar wszystkiego tenże organ, wychodząc z miesesowego założenia, z lekkim sercem odstępuje Żydom zaszczyt chełpienia się żydowskim pochodzeniem ostatniego króla polskiego, którego przywary charakteru bezmyślnie przypisuje jego żydowskiej genealogii. Bumerang działa. Jeszcze chwileczka, a Nara zwali nam na głowę wszystkich zdrajców sprawy narodowej, w których p. Mieses nie omieszka zapewnie w między czasie wyniuchać żydowskiej krwi. Mętna woda na antysemicki młyn. Oto nie pozbawiony pikanterii rezultat niepoważnej kompilacji p. Miesesa, na którym mści się obecnie kompletny brak metody historycznej i taktyki — godnej walki. Gdyby bowiem p. Mieses posiadał te dary, wówczas rychło by doszedł do wniosku, że doszukiwanie się mistycznej kropli krwi żydowskiej w żyłach nie-Żydów jest niegodne żydowskiego historyka i uwłacza powadze naszej misji dziejowej, że rasistowskie wyławianie kropli krwi żydowskiej z żył antysemitów i podcinanie autorytetu ich wywodów toporem rzekomego pochodzenia żydowskiego jest chyba tylko — wynikiem kompleksu małowartościowości niektórych naszych szperaczy; wydaje im się, że żydostwo jest batem dorożkarskim, którym okładać można każdego parszywego perszerona. Ci żandarmi krwi żydowskiej powinni wiedzieć i zrozumieć, że już tylko cień możliwości żydowskiego pochodzenia jakiegoś gladiatora z pod antysemickiego znaku jest policzkiem ,zadanym honorowi narodu żydowskiego. Kończyć z tymi brechtami! I kończyć już w ogóle z tą genealogiczno - rasistowską chorobą wielu żydowskich szperaczy! I nie posługiwać się więcej genealogią w celach niepoważnych, nie ściągać jej do poziomu nonsensowych przechwałek, szmoncesowej pikanterii, taniej i bulwarowej plotki. Genealogia jedynie wówczas wartość posiada, gdy cementuje logiczną tezę i scala dobrze i mądrze skonstruowany wywód, oparty o zrąb dziejowej rzeczywistości. Złośliwe łechtanie rodowodami fałszywie pojętej „dumy narodowej" — jest niczym innym, jak tylko szkodliwą igraszką!

Rozumiemy sens genealogii, reprodukowanej dla celów ściśle naukowych, a zrośniętej niepodzielnie z dobrze skonstruowaną tezą. Posługiwanie się jednak mglistą mrzonką i kucie z niej kruchej broni w walce o najwyższe nasze postulaty życiowe, — uważamy nad wyraz szkodliwe dla sprawy żydowskiej. Jest to niskie wkupywanie się najtańszym kosztem w należne nam prawa historyczne. Panowie! Kończyć z idiotyzmem rasistowsko-genealogicznym! Nie ma czego rewindykować, nie ma czym się chwalić! Zagiądanie przez żydowską dziurkę od klucza do sypialni polskich magnatów — w niczym nie podważa ich polskości. Bo polskość podobnie jak i żydoskość — to nie skrzyp materaców! Można być z ojca Polaka i z matki Francuzki — a czuć się doskonałym Anglikiem. Jud Süss, syn austriackiego generała, był stokroć lepszym Żydem od nie jednego koszernego chasyda, a Leśmian jest bardziej słowiański od samego nawet burgrabiego Rostworowskiego i całej jego dalszej i bliższej parenteli. Klaczko w każdym calu był polskim szlachcicem, a Mickiewicz w prostej linii wywodzi się z ethosu hebrajskich proroków. Krew, pochodzenie, rasa — nic tu nie znaczą! Decyduje jedynie głębia i charakter misji moralnej i kulturalnej, którą człowiek nabywa w pocie, w trudzie i w cierpieniu swojego życia.

Więc o la Boga, co za ścisk w tym żydostwie! Natłoczyło się tych nowoodkrytych Żydów, tych wczorajszych karmazynów ,tych pseudorycerzy, tych exszlachciców, tych byłych szaraczków, nawaliło się tych nibyżydów coniemiara! Spędził ich gęstą kupą, wrzeszczącą gromadą p. Mieses. Napędził, nagonił, zgonił, poprzynosił, w rękach, w kieszeniach, na plecach, w kamizelce, pod płaszczem, pod pachą, za pazuchą, w kaloszach. Są. Zebrali się czarnym, falującym tłumem i — stoją. I nic. I stoją. A poco się zeszli? A kto ich wołał? A czego chcą? Niewiadomo. Nam do szczęścia na pewno nie są potrzebni. Rwetes tylko czynią i przeludnienie w żydostwie powiększają. Będzie trza ich wysłać na Madagaskar!

P.S. Autor niniejszego artykułu zaznacza, że nie miałby nic przeciwko temu historykowi polskiemu, któryby udowodnił w rekompesacie, że w żyłach p. Mateusza Miesesa płynie np. aryjska krew germańskich raubritterów — po mieczu i kądzieli.

Wanda Kragen

Na granicy pokoju i wojny

Wielka Wojna rozcięła dzieje współczesne ludzkości na dwie fazy, podobnie, jak tektoniczny wstrząs rozcina skałę. Jedna partia osuwa się wzdłuż pęknięcia w dół i nigdy już nie może się wydźwignąć, nigdy — połączyć się z drugą ozdrowieńczą blizną. Taki uskok jest i pozostanie na zawsze otwartą raną na ciele ziemi, świadczącą dobitnie o wstrząsie, który spowodował ruch skalnych mas.

Wstrząsem, który poruszył masy ludzkie w niewidzianych dotąd rozmiarach, który wytrącił z normalnych torów życie Europy i pchnął je na zawsze w inne łożysko, była — wśród ogólnego pokoju — mobilizacja mocarstw w lipcu 1914 roku.

Granica, linia demarkacyjna między wojną i pokojem, była owego lata 1914 tak chwiejna i nikła, że wystarczyło doprawdy jednego pociągnięcia, jednego śmiałego, biorącego na siebie odpowiedzialność kroku, a wielka wojna i jej skutki zostałyby ludzkości oszczędzone. Tego kroku decydującego, tego pociągnięcia nie uczynił nikt. Europa toczyła się ku przepaści, i nikt, kto miał po temu możność, jej nie wstrzymał, nikt nie zdobył się na słowo, którego czekano. Dlaczego tak się stało? Jak to było możliwe? Czy nie było siły, zdolnej zatrzymać zło? Oto pytania, dręczące nas po dziś.

Do tych tygodni i dni, poprzedzających nakazy mobilizacyjne w stolicach państw europejskich, do tego najbardziej ponurego okresu w dziejach ludzkości, do samej linii światobójczego przełomu podchodzi świetny pisarz francuski w ostatnich trzech tomach swego wielkiego cyklu „Thibaultowie"*). Zstępuje w złowieszczą atmosferę upalnego lipca, w mroki czającego się, nieludzkiego, choć przez ludzi wyzwolonego kataklizmu, stara się przeniknąć i ogarnąć całość wydarzeń, zaopatrzony najżarliwszym spojrzeniem badacza, najczulszym sejsmografem duszy i serca, które za wszelką cenę chcą wyświetlić, przedstawić, pokazać, jak było naprawdę.

I oto leży przede mną ta książka, od której nie sposób się oderwać, pasjonująca i tragiczna, i opowiada dzień po dniu rozwój i narastanie wypadków, wiodących do katastrofy, wprowadza nas w mateczniki dyplomatycznej roboty, wiedzie przez osądy i odczucia przeciętnych obywateli, przez manifestacje antywojennej woli w masach zorganizowanego proletariatu. Dzieło du Garda jest — jeśli idzie o fakty — wiernym reportażem powieściowym tego, co działo się w Europie od 24 lipca do 2 sierpnia 1914 r. Ale reportażem wagi niezwykłej, w którym nad doskonałą konstrukcją i montażem faktów dominuje duchowa i etyczna strona zagadnienia wojny, który głębokimi cięciami wdraża się w psychikę mas i jednostek, aby obnażyć człowieka i to, co on czuł i myślał w przededniu mobilizacji.

Akcja tej książki trwa więc zaledwie parę tygodni; ograniczona w czasie, rozbudowuje się za to przestrzennie i w głąb, odzwierciedlając poglądy i uczucia najszerszych i najróżnorodniejszych warstw ludności. Wyszedłszy z międzynarodowego środowiska rewolucyjnych socjalistów w Genewiee, łudzących się do ostatka, że zorganizowany proletariat może powstrzymać i powstrzyma wojnę samą groźbą strejku generalnego, przerzuca się do Paryża, Berlina, Brukseli, by kolejno, w olbrzymich rzutach ukazać możliwość takiej akcji i jej złamanie. Zabójstwo Jaurésa 31 lipca, bezpośrednio przed jego zetknięciem się z delegatem partii niemieckiej i ustaleniem postępowania w obu krajach, podkopało ostatecznie przeciwwojenną akcję socjalistów, którym zabrakło najsilniejszego i zdecydowanego na wszystko przywódcy. Masy czekały na parol. Ale parol nie został rzucony. A nastroje antywojenne, silne jeszcze kilka dni temu, zwolna zmieniały się, nawet pacyfiści i bojowcy przestali zwalczać wojnę, którą uważali jedynie za obronną. Pisarz pokazuje w sposób cudowny, jak z godziny na godzinę, z chwili na chwilę, zmieniał się nastrój mas, szarego człowieka, jak ten przeciętny, spokojny zjadacz chleba, otumaniony przez prasę i walące się nań wypadki, których kulisy były przed nim zakryte, poddawał się, pozwalał się formować i wmawiać sobie nienawiść do wroga, której dwa dni temu jeszcze wcale nie żywił — może dlatego, że w ten sposób łatwiej mu było ugiąć się, pomaszerować karnie z innymi, zabijać...

Ostatnie dnie i noce przedwojennej Europy dyszą już głuchą, nieuchwytną grozą, już niedosłyszalnie dla wielu pękają więźby starego porządku, już idzie ostry wiew barbarzyństwa i wzajemnej nienawiści narodów, bez których wojna była w ogóle nie do pomyślenia. Wypracowywało się to szaleństwo w powolnej, systematycznej konspiracji, w tajnych układach, zdala od opinii publicznej, w nieświadomości szerokich mas, aby pewnej godziny, kiedy sztaby generalne uznały przygotowania wojenne za gotowe, runąć straszliwym nakazem ogólnej mobilizacji na nieprzygotowanych, nie przeczuwających niczego obywateli.

Du Gard, wspaniały Francuz i demokrata, nie upraszcza sobie bynajmniej zadania przetoczeniem i zwaleniem całej winy wybuchu wojny na Niemców i ich politykę. W równej mierze obarcza nią rządy swego państwa, przymierze Francji z Rosją, wzmocnione świeżą wizytą Poincarégo u cara. Książka jego jest świadomym czynem człowieka twórczego, który usiłuje przedrzeć się przez chaotyczną miazgę fermentów, opinii i nastrojów w wilię wojny, aby wyłowić istotę rzeczy. Nie potępienie jednych i wybielenie drugich: to byłoby zbyt proste na pisarza tego formatu. Ale rzeczywiste oblicze tych dni i godzin, kiedy posępne cienie chyliły się nad Europą i kiedy można było jeszcze zapobiec złu, i uratować świat.

Konsternacja i zamęt, jakie wynikły we wszystkich kancelariach dyplomatycznych na wieść o nieprzejednanym stanowisku Austrii, sparaliżowały zimną krew i trzeźwe myślenie, nieodzowne w takiej chwili. Zapanowała wzajemna nieufność, śledzenie się, niewiara, dyplomaci potracili głowy. W tych dramatycznych momentach rozprzężenia dosłownie wszystko, najbłahsza okoliczność, najmniejsza drobnostka przyczyniały się do zaognienia sytuacji i wzmożenia obustronnej obawy, trzymały w szachu dyplomatów i kierujących mężów stanu, nie dopuszczając do głosu rozwagi i próby wyjścia z impasu. I wówczas powoli, krok za krokiem, władza a tym samym moc powstrzymania huraganu, prześlizgiwać się poczęła we wszystkich krajach w ręce opętanych megalomanią jednostek, klik militarnych oraz kół stojących za nimi, więc tych sfer, które od początku konfliktu parły do wojny, by upiec przy tym ogniu swą pieczeń. W chwili, kiedy smagane niepokojem rządy wezwały do współpracy sztaby generalne, kiedy poniechano dyplomatycznych formułek, a jako ostatni argument przeciw „napastnikowi" wysunięto siłę zbrojną, kiedy plakaty mobilizacyjne czarnymi czcionkami rozbłysnęły na ulicach miast, dramatyczny prolog nowej epoki był skończony: zrąb przedwojennego, statycznego świata runął, pokój ustąpił wojnie, zbiorowe porozumienie i współ praca narodów — nienawiści i szaleństwu, trwającym do dziś.

Wojna była szaleństwem, w które ogół do ostatka nie wierzył i która zaskoczyła niejednego dyplomatę. Ale szaleństwo to było p r z y g o t o w a n e: wystarczyło iskry. I to jest istota zagadnienia i jeden z głębinowych nurtów książki du Garda.

Nie waham się stwierdzić, że ta książka jest stokroć ważniejsza i więcej nas uczy od licznych książek wojennych s e n s u s t r i c t o. Tamte opisują miażdżące działanie rozpędzonych trybów machiny wojennej. Ta — sposób, w jaki tryby zostały naoliwione i puszczone w ruch. Doświadczenie lat wojennych wykazało dowodnie, że krwawych kół raz rozpętanych żadna siła ludzka nie jest w stanie okiełzać i zatrzymać. Można to uczynić jedynie przedtym. Nim jest za późno.

Mimo, że du Gard nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie: jak można zapobiec wojnie, mimo że w swym patetycznym opisie nie wznosi ani razu agitacyjnych przybudówek i rusztowań, pozwalając przemawiać jedynie wypadkom, uważny czytelnik pojmie, że kośćcem moralnym jego dzieła jest postawa młodego, fanatycznego rewolucjonisty, Jacques'a Thibaulta, protagonisty powieści. On jeden z pośród tysięcy, niemal jedyny z pośród towarzyszy partyjnych, szermujących hasłami pacyfistycznymi... do dnia wybuchu wojny, posiada dosyć wiary w ideę międzynarodowego braterstwa, dosyć siły woli i hartu ducha, by iść do końca, by iść świadomie w śmierć za wewnętrznym nakazem. On jeden ma odwagę do ostatka, nawet wówczas, gdy wszystko stracone, krzyczeć: „wojna wojnie!", i czynnie, bohatersko przeciwstawić się przymusowi. W osobie Jacques'a skrystalizował autor najszlachetniejsze porywy i myśli wolnego człowieka, który nie ulega ogólnej sugestii i szałowi nienawiści, który za nic nie chce poddać wartości, najbardziej w nim ludzkich i świątłych, wyrzebionych usilną pracą samotnych lat, władzy tych, co każą zabijać.

I może świat odmieni się dopiero wówczas, gdy indywidualna etyka człowieka zatryumfuje nad instynktem stadowym, hodowanym dziś świadomie w obywatelach przez rządy wszystkich niemal państw. — I to jest drugi nurt podskórny, płynący popod kartami książki, — nurt siły, wiary i prawdziwego bohaterstwa, które twórca ma odwagę przeciwstawić dzisiejszemu małemu, po zęby uzbrojonemu światu.

W artykule moim poruszyłam jeden tylko aspekt książki: polityczny i ideowy. Wszystko inne, co ma związek i jest przedłużeniem wydanych uprzednio części, pozostawiłam na uboczu. Tak samo nie zajmowałam się zupełnie artystycznym ukształtowaniem ani niezwykłymi walorami stylu. Będzie na to czas, gdy któryś z polskich wydawców zwróci uwagę i wyda w całości arcydzieło du Garda, stojące godnie obok najwyższych osiągnięć epicznych w literaturze świata.

*) Roger Martin du Gard: L'été 1914. Paris 1936.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

7)

Wielka, błoga duma przepełniła Terencjusza. Ale wyćwiczył się już w cierpliwości, nauczył się panowania nad sobą. Tym razem nie pozwolił sobie zdradzić się przed nikim, nawet przed niewolnikiem Knopsem. Nie rozstawał się jednak z listem Varrona i stale nosił go przy sobie. Czasem, kiedy był sam, wyciągał go i odczytywał ostatni ustęp, jeszcze i jeszcze, wiele razy. Czasami wreszcie ukrywał swe szczęście w samotności labiryntu. Tam, w jednej z tajemnych, ciemnych komnat, nie widziany przez nikogo, chyba tylko przez nietoperze, prostował się, wyciągał ramiona, uśmiechał się głupio i błogo i przybierał, jak to uczynił w swoim czasie przed senatorem Varronem, aż do najdrobniejszych szczegółów chód, ruchy i głos cesarza Nerona.

Na całym obszarze imperium rzymskiego na zlecenie senatu zostały w swoim czasie wszystkie pomniki i popiersia wygnanego z kraju i haniebnie zmarłego Nerona zniesione i zniszczone doszczętnie. Poza jednak granicami, przede wszystkim zaś w Mezopotamii, zachowało się jeszcze sporo popiersi i posągów Nerona. Senator Varro polecił całe ich mnóstwo sprowadzić do Edessy. Stały więc i leżały w jednej z jego posiadłości w pobliżu miasta, w wielkiej szopie i na zaniedbanym podwórzu, niektóre już zmurszałe, pod opieką pewnego bardzo młodego, pół-zidiociałego, do niczego innego niezdolnego niewolnika.

Pewnego dnia Terencjusz przybył do tej posiadłości Varrona, jako człowiek prywatny, wałęsający się po okolicy spacerowicz. Mały dozorujący niewolnik bez zastrzeżeń wpuścił godnie i pewnie kroczącego Rzymianina. Terencjusz krążył wśród kamieni i bloków, które zachowały twarz i gest Nerona. Zmarły cesarz leżał tu, stał i siedział w setkach póz. Szeroka twarz o krótkowzrocznych oczach i grubej, wysuniętej naprzód dolnej wardze, spoglądała bądź dumnie znudzona z nad leżącej, okazałej tęgawej postaci, to znów majestatycznie patrzyła wprost siebie z nad pancerza z głową meduzy, to wychylała się z otoku starannie trefionej brody. Niektórzy rzeźbiarze wprawili posągom oczy, szare, mieniące się oczy ze szlachetnych lub półszlachetnych kamieni. Poszczególne popiersia były barwne, odtwarzały różową i zwiędłą skórę cesarza, jego czerwonawo-blond włosy i bardzo czerwone usta. Terencjusz krążył wśród tych posągów. Obejrzał wszystkie, przed wieloma zatrzymywał się dłużej, wchłaniał je w siebie, brał je do serca, ożywiał swą własną istotą, czuł się z nimi tak związany, że wkońcu sam już nie wiedział, czy posągi te odtwarzają jego, czy tego drugiego. Przed jednym wojskowym popiersiem stał szczególnie długo. Wyciągnął szmaragd. Tak, to był Nero-Terencjusz taki, jakim był przed czternastu laty. Stał przed popiersiem, wchłaniał jego wyraz aż do najdrobniejszych szczegółów, patrzył nań swymi krótkowzrocznymi oczami, ściągając jednocześnie brwi i czoło, wyciągnąwszy nieco skośnie do przodu głowę, wysunąwszy naprzód podbródek i dolną wargę, skrzywiwszy usta, niezadowolony, niecierpliwy, bardzo dumny. Stał tak przez dłuższą chwilę.

Tymczasem młody dozorca oddalił się w kąt podwórza. Stamtąd lękliwie i ciekawie przyglądał się temu obcemu panu i jego dziwnemu zachowaniu się. Gdy jednak dojrzał Terencjusza, stojącego przed wojskowym popiersiem, wyraz jego twarzy uległ nagłej zmianie: wystraszony skulił się jeszcze bardziej w swym kącie. Kiedy zaś przybysz oderwał się wreszcie od popiersia i ruszył dalej, zataczając się lekko po tak długim rozmyślaniu, chłopiec szybko podbiegł doń i runął przed nim, czołem uderzając o ziemię, jak to ludzie Wschodu czynić zwykli przed bogami i wielkimi królami.

Terencjusz odszedł śpiesznie, w głębi serca przerażony i uszczęśliwiony. A więc doszło już do tego. Teraz nawet nieletni i niedorozwinięty umysłowo poznawali, kim był i do czego powołało go niebo. Niesłychany entuzjazm tamował mu oddech, dusił go prawie. Jak pijany szedł wprost przed siebie, daleko, aż tam, gdzie wieś przechodziła w step. Raz, na małym wzniesieniu zatrzymał się. Podniósł ku górze ramiona, niedbałym, niesłychanie dumnym ruchem Nerona opuścił rękę i prawie drwiąco zacytował słowa greckiego tragika: „Nie drżyj teraz, ziemio. Kiedy nosiłaś większego z pośród śmiertelników?"

Niemożliwością stało się dlań spojrzenie w codzienną twarz Caji czy Knopsa. Zagłębił się w labirynt. Nasłuchiwał głosu swego Demona. I głos ten rozległ się i mówił: „Pozdrowiony bądź, cezarze. W górę. Coraz wyżej. Aż do gwiazd, cezarze."

13.

PRZEBRANY KSIĄŻĘ.

Tymczasem w Edessie mówiono coraz częściej o Neronie, i o tym jak dobrze się działo za jego rządów i pytano czy może doprawdy zdołał się on jednak uratować i w krótce pojawi na widowni. Kiedy zaś wszystkim stało się wiadome, że Straszak za Wielkiego króla Partów uznał nie Artabana tylko Pakora, tęsknota za zmarłym cesarzem i oburzenie na Tytusa i jego przedstawiciela stawały się coraz gwałtowniejsze. Uznany przez Rzym Pakor władał na dalekim wschodzie państwa Partów, graniczące zaś z Edessą obszary podlegały Artabanowi. Jeśli między Rzymem i Artabanem dojdzie do wrogich wystąpień, to nieprzyjacielskie kroki najpierw rozpoczną się na terytorium Edessy. Mieszkańcy Edessy nie chcieli wojny. Czyż nie dosyć, że Rzym przez swe niesłychane podatki i daniny zmniejszał ich dochody? Dla kogo zbierano w takim trudzie oliwę, wino i chlebowiec? Dla obcego, zuchwałego zdobywcy, dla Rzymu. Ach, gdyby powrócił ten dobry cesarz Nero! Za jego rządów opłacały się stosunki z Rzymem, prowadzono handel, z którego obie strony Rzym i Edessa czerpały korzyści. Nero uznawał również starych bogów Wschodu, Tarate, Mithrę, arabskich bogów gwiazd. Dlaczego teraz więcej miał znaczyć kapitoliński Jowisz i Bogini Rzym, niż Mithra i bogini Tarate, Bogini Syria. Cóż to za bóg, który żąda od udręczonych ludzi coraz więcej i więcej pracy i co raz więcej i więcej podatków? Ryby bogini Tarate są znacznie mniej chciwe, niż orzeł Jowisza. Żołnierze rzymskiego garnizonu spotykali się coraz częściej z nieprzychylnymi spojrzeniami. „Pachołki Straszaka" drwiono i szydzono za nich plecami i nie było bezpieczne dla żadnego z nich samotne przejście nocą ulicami Edessy. Ruchome, śmieszne lalki w olbrzymim powiększeniu palono wśród radosnych okrzyków tłumu na publicznych placach. I coraz głośniej powtarzano wszędzie, że panowanie Straszaka nie długo już potrwa, że cesarz Nero istnieje, jest w Edessie, wkrótce da się poznać i pobije Straszaka na głowę.

Wielu życzyło sobie serdecznie obecności w mieście senatora Varrona, od niego usłyszanoby z pewnością nie jedno mądre słowo, tyczące Rzymu i sytuacji politycznej. Varro jednak w nieznośny sposób pozostawał w Antiochii, nieosiągalny, nurzający się w rozkoszach willowej dzielnicy Daphne. Aczkolwiek zaś teraz krążyły po Mezopotamii różne i dziwne pogłoski, trzeba było chyba mieć bardzo czuły nos, aby poza tymi poszeptami wyczuć oddech senatora Varrona.

Gdy jednak Varro pozostawał niewidzialny, ukazał się inny Rzymianin, człowiek bardzo tajemniczy. Złożono mianowicie świątyni bogini Tarate przez tajemniczego kuriera, odmawiającego wszelkich wyjaśnień, przekaz na bardzo wysoką sumę, jako ofiarę dziękczynną cesarza Nerona za ocalenie z wielkiego niebezpieczeństwa. Bardzo wrażliwemu na kobiecą urodę królowi Mallukowi zaś ten sam tajemniczy kurier ofiarował dwie wytworne dziewicze niewolnice, jako dar tego samego niewidzialnego Nerona. Król i arcykapłan wahali się z przyjęciem podarków. Ponieważ jednak przekaz pieniężny był bardzo wysoki, obie zaś dziewczyny bardzo piękne, w końcu zaakceptowali dary.

Król Mallukh i arcykapłan Szarbil używali w rozmowach o polityce, nawet wówczas gdy byli sam na sam, wyłącznie tylko kwiecistych i ostrożnych zwrotów. W tej to zawoalowanej formie omawiali również zjawienie się zmarłego rzekomo cesarza. „Dobrze by było wiedzieć, — zauważył król, — co pewien Rzymianin myśli teraz w swym sercu o tym cesarzu i jak mocny jest grunt, którym opierają się jego myśli:" „Ten Rzymianin, — odparł arcykapłan, — zużywa siły swego serca i swych lędźwi w domach rozpusty zachodniego miasta." „Bogowie obdarowali go głębokim spojrzeniem, — odparł król, — i z pewnością potrafi on z domu ucieczy na zachodzie rzucić spojrzenie na nasz Wschód". „Być może, — potwierdził arcykapłan. — Gdyby się jednak posłało doń kuriera, mógłby on zostać schwytany lub zmuszony do mówienia. Tylko ziemia umie milczeć." „Edessa jest stara, — oświadczył król, — i przeżyje jeszcze nie jedno mocarstwo, cierpliwość zaś jest rzeczą dobrą." „Ja sam jestem stary, — pisnął z niezadowoleniem wyzłoconymi ustami arcykapłan, — a nie jestem z kamienia i ziemi, jak Edessa."

Czy to tajemnicze podarki cesarza Nerona, czy też inne jakieś znaki podniecił wyobraźnię ludu, — dość, że pogłoski o tym, że Nero żyje, stawały się ro raz pewniejsze i co raz uporczywiej powtarzano, że przebywa w Edessie.

Garncarz Terencjusz chciwie wchłaniał te pogłoski. Nie zdradzał jednak przed nikim swej chciwości. Był teraz pewien swej sprawy i zachowywanie cierpliwości nie sprawiało mu trudu. Zdrowym instynktem wyczuwał, że lepiej jest zachowywać się cicho i pozwalać dojrzewać sprawie bez swego udziału.

Istotnie zaś działo się bez jego udziału wiele rzeczy, które przygotowywały jego wyniesienie. Krąg, wewnątrz którego miał znajdować się cesarz, stawał się coraz ciaśniejszy i wyraźnie zatoczony był wokół ulicy Czerwonej. Z coraz większym przekonaniem mówiono, że garncarz Terencjusz nie jest tym, kim jest.

Znajomi Terencjusza pozdrawiali go teraz z wyraźną nieśmiałością, obcy pokazywali go sobie na ulicy, szeptano za jego plecami, gdy zaś spoglądał niespodziewanie w twarz spotkanego przechodnia widział na niej zmieszanie i lękliwą cześć. Stwierdzał to z głębokim zadowoleniem, ale postępował dalej tak, jakby nic nie dostrzegał i zachowywał się swobodnie w obrębie nimbu, który snuł się wokół niego, Gdy próbowano zadawać mu pytania, ze zdumieniem marszczył brwi i obrzucał pytającego błyskami swych krótkowzrocznych oczu.

Niewolnik Knops otrzymał również swój udział w tej uniżoności i tajemnej czci, jaka otaczała jego pana. Jego przyjaciel ośmielał się odtąd na żarty tylko z pewną domieszką uniżoności i gdy czasem wymknęło się jego ustom imię Knops z krótkim, właściwym dialektowi Edessy O, a nie z wymaganym długim O, wówczas bardzo szybko poprawił swój błąd. Knops ogarnięty był błogim przeczuciem, że dzień ów, na który od dawna czekał, na jaki postawił życie, nareszcie widocznie nadciąga. Będąc inteligentnym, przewidywał, jaka polityka zostanie podjęta, wiedział, że będą szerzone wieści, jakoby cesarz Nero podczas ostatniego spotkania z garncarzem Terencjuszem na Palatynie przezornie zamienił się z nim rolami. Ale właśnie fakt, że Knops zdawał sobie ze wszystkiego sprawę, pozwalał mu ukazywać się przed swym panem takim, jakim Terencjusz chciał go widzieć. Nie zmienił bodaj że swego zachowania. Zachowywał się, ów przebiegły Knops, przed tajemniczym cesarzem jak dotychczas, był poufały, oddany, uniżony, zuchwały, jako niezastąpiony kierownik fabryki, może był tylko o gran bardziej uniżony i o gran mniej zuchwały.

Poza wszystkim zaś skutkiem zmiany w zachowaniu się otoczenia stopniowo zmieniał się również sposób bycia Terencjusza, w istocie rzeczy wbrew jego zamiarowi i woli. Starał się w dalszym ciągu udawać, że nie wyczuwa wcale tej szczególnej atmosfery, jaka go otaczała, ale postępował w taki sposób, że wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że nie chce on nic widzieć. Odtąd przestał już być garncarzem Terencjuszem, został zaś tajemniczym człowiekiem, któremu podobało się grać rolę Terencjusza.

Podczas gdy wszyscy szli na rękę tej grze garncarza Terencjusza jedna tylko Caja nie brała w niej udziału. Postanowiła ona osadzić go, wybić mu z głowy jego niedorzeczną żądzę wielkości.

Jeszcze przed paru tygodniami znajdował jej Terencjusz przyjemność w długiej i starannej kąpieli w jednej z publicznych łaźni. Tam spotykał się zwykle ze swymi znajomymi i w ważkich słowach wykładał im swe poglądy polityczne i literackie. W ostatnich czasach zaniechał tego, wolał raczej kąpać się w wąskiej i niewygodnej łazience domu przy ulicy Czerwonej, bez obcej pomocy. Tam, sam jeden w przyjemnej ciepłej wodzie, oddawał się marzeniom, mówił głośno, śpiewał, recytował, potem zaś, nago albo w kąpielowym płaszczu, ćwiczył się w majestacie, którego żądała odeń przyszłość. W takiej właśnie pozie, w płaszczu kąpielowym, ze szmaragdem, podniesionym do oka, z podbródkiem i dolną wargą przesadnie i dumnie wysuniętymi ku przodowi znalazła go pani Caja, gdy przekroczyła kiedyś próg gorącą parą wypełnionej izby, powziąwszy mocną decyzję przeprowadzenia swego planu. Szorstka, ożywiona stała przed nim, wypełniając zarazem w zupełności wąską izbę. Powiedziała mu w oczy wszystko, na co się zanosi, powiedziała, że ludzie, prowadzący tę grę, nie czynią tego z pewnością z racji jego blond włosów i szarych oczu, lecz że mają tajemne i niebezpieczne cele, że znów będzie musiał pracować i to w bardzo poniżający sposób na innych, którzy z pewnością porzucą go w potrzebie, jeśli się im powinie noga. I jakże zresztą może im się noga nie powinąć, jeśli garncarz z Edessy chce powstać przeciw państwu rzymskiemu?

Terencjusz odwrócił się od niej, opuszczając płaszcz. Nagi, odwrócony od Caji, siedział na brzegu wanny, pluskając nogami w wodzie. Przemawiała do niego. Przypominała mu ową niesamowitą noc, kiedy to jego gotowość godzenia się na plany innych omal nie kosztowała go życie. Przypominała mu, jak mokry od potu i zgnębiony powrócił z owej ostatniej wycieczki na Palatyn. Terencjusz milczał. Ponieważ zaś Caja nie przestawała mówić, zaczął się ubierać, pogwizdując zlekka.

14.

DWAJ AKTORZY.

W nagiej izbie w pół rozwalonego domu na południowym przedmieściu Edessy siedział nad rękopisem Jon z Patmos, ów człowiek, z którego ujęciem roli Edypa nie godził się garncarz Terencjusz. Panowała głęboka noc, cała uliczka dawno już tonęła w mroku, tylko w izbie Jana paliła się kopcąca lampa.

Jan przejrzał był rękopis po południu. Jego dorastający syn, Alexai, przyniósł mu go, otrzymawszy od jednego z chrześcijańskich współwyznawców. Był to grecki przekład tragedii, która przed paroma laty wywołała wiele zainteresowania; prawdopodobnie autorem jej był filozof Seneka, treść zaś stanowił niewysłowiony żal i współczucie wywołujący los Oktawii, pierwszej małżonki Nerona, wygnanej i zamordowanej na rozkaz tyrana. W swoim czasie Jan czytał ten utwór w łacińskim oryginale i przejął się nim bardzo. Teraz, od dawna, od czasu jak przystał do chrześcijan, uważał za grzech zajmowanie się świeckimi książkami. Kiedy jednak chłopak przyniósł mu dziś do domu grecką wersję tej tragedii, nie potrafił się oprzeć pokusie rzucenia na nią choćby jednego spojrzenia. Zamierzał jedynie przejrzeć rękopis, nie zaś właściwie czytać i, przezwyciężywszy się, odłożył go wkrótce na bok. Później, wieczorem, aby skierować myśli swe ku świętości, sięgnął po jedną z proroczych ksiąg Sybilli, uważanych przezeń i przez jego współwyznawców za boskie pisma. Jednakże księga Sybilli napomykała w tylu miejscach mętnymi aluzjami o Neronie, o Antychryście, którego władanie zwiastuje koniec świata i sąd ostateczny, że owe tajemnicze przepowiednie nie tylko nie odwiodły myśli jego od Oktawii, lecz przeciwnie na nią je skierowały. Wyjął więc na nowo „Oktawię", chociaż nie należało tak postąpić, i teraz głęboką nocą czytał — wbrew swej woli — te piękne i mocne słowa.

Kto nie znał dokładnie jego losów, szukałby raczej sławnego aktora Jana w każdym innym otoczeniu, niż tu, w mieście Edessie, w tej nagiej izbie. Stało się bowiem tak, że wielkiemu artyście Janowi nie wystarczała jego sztuka. W miastach Małej Azji widział wiele nędzy i pytanie: „Skąd pochodzi cierpienie i w jaki sposób możnaby je ze świata usunąć?" wiecej jęło go podniecać, niż sztuka. Był Żydem z pochodzenia, odpowiedzi jednak, jakie żydowscy doktorzy dawali na te pytania, — były dlań równie niewystarczające, jak wyjaśnienie greckich filozofów i mistrzów stoicyzmu. Coraz bardziej sympatyzował z wierzeniami właśnie powstającej sekty tak zwanych chrześcijan. Ich nauki o błogosławieństwie ubóstwa i ofiarowaniu tegoczesnego żywota dla dobra żywota po śmierci, ich niejasne przepowiednie nadchodzącego końca świata, pozagrobowego żywota i sądu ostatecznego, ponury żar ich sybilijskich i apokaliptycznych ksiąg przepełniały go podnieceniem, słodkiem i jednocześnie pełnym lęku. Zaczął wierzyć, badał, wątpił, wierzył mocniej, porzucał wiarę, i znów do niej wracał. Po długich walkach wewnętrznych zrezygnował z bogactw i zaszczytów, jakie przynosiła mu jego sztuka, i od paru lat mieszkał teraz w mieście Edessie, na skraju cywilizacji, w umyślnej biedzie i poniżeniu.

Jego nowa wiara zażądała odeń jeszcze większej ofiary: rezygnacji ze sztuki. Dramaty greckie ukazywały ludzi, walczących z bogami i losem, sławiły tę walkę, ich bohaterowie chełpili się: „Nie ma nic na świecie potężniejszego ponad człowieka". Czy mógł człowiek wyznawać świętość pokory i jednocześnie pozostawać w służbie tych wynoszących się ponad wszystko greckich poetów? Jan, zgrzytając zębami, musiał przyznać, że jest to niemożliwe i że jego współwyznawcy mają słuszność, biorąc mu za złe jego zawód, mimo całą swą tolerancję. Zrezygnował zatem nietylko ze sławy i pieniędzy, jakie dawał mu teatr, ale nawet z samej sztuki. Jednakże dramaty greckie, a przede wszystkim dramaty Sofoklesa, zbyt mocno pulsowały w jego krwi, aby mógł się całkiem od nich wyzwolić. Najukochańsze z pośród swych książek zabrał ze sobą. Stały oto owe kosztowne rulony, owinięte przepysznymi osłonami, dziwacznie wyglądając wśród nędznego otoczenia. I raz po razie, robiąc sobie gorzkie wyrzuty, Jan wyciągał je, pieścił swe oczy, uszy i serce wspaniałością wierszy.

Teraz więc pochylony siedział nocą w swej pustej izbie nad manuskryptem „Oktawii". Kopcący kaganek olejny oświetlał migotliwie część jego twarzy, zgubionej w cieniu. Jan z Patmos zaniedbał się: jednak jego duża zapadnięta twarz o ciężkim czole, ciemnych oczach, grubym nosie okolona niepielęgnowaną krętą brodą, którą zapuścił w latach osamotnienia, zwracała na siebie uwagę wśród tysiąca innych. Z płonącymi oczyma czytał przy skąpym świetle.

(C. d. n.)

Dr. ST. RUMELT

I znowu Schiller nas wzrusza...

(Na marginesie premiery „Fieska")

Habent sua fata libelli... Gdy w r. 1918 oglądaliśmy na scenie dramat Schillera, zdawało się nam, że w XX wieku stanowi on przebrzmiałą pieśń, która już nigdy nie ożyje. W tych latach optymistycznie wierzyliśmy, że traktat wersalski oznacza ostateczne i bezapelacyjne przypieczętowanie zwycięstwa demokracji, której tak wielkim bojownikiem był kiedyś Fryderyk Schiller.

Walczyć jeszcze nadal o swobodę narodu, o wyzwolenie z tyranii, o swobodę myślenia, o prawa obywatelskie człowieka — jakże to — przecież to anachronizm, lamus, wyblakły pergamin, archiwum — pomyśleliśmy sobie my, widzowie teatralni roku 1918, upojeni zwycięstwem demokracji, gdy oglądaliśmy Schillera w tych latach. Bo i cóż, poco to wystawiać, kiedy te idee miały dla nas wtedy tylko historyczną wartość, unaoczniającą jak to kiedyś trzeba było walczyć o prymitywne prawa, które zostały w 1918 r. zagwarantowane i usankcjonowane konstytucjami, traktatami, no i duchem panującym w całej Europie.

Przed kilkunastu laty, składając sprawozdanie z przedstawienia teatralnego „Zbójców" wraz z innymi recenzentami, wyraziłem zdziwienie, jaki jest cel wystawienia Schillera, który do widza współczesnego nie przemawia, nie wzrusza go, nie przekonywa. Przeważało zdanie, że Schillera warto wystawiać na scenie, gdy ma się coś nowego do powiedzenia w dziedzinie inscenizacji. Trzeba było na gwałt staruszka Fryderyka Schillera orzeźwiać solami, zastrzykniętymi w mocnych dawkach przez Leona Schillera.

Nasze zdania okazały się omyłką, i to omyłką niestety, tragiczną. Któż by przypuszczał, że czas doraźnie zaktualizuje dramaty Schillera, co jest nie tyle chlubą dla tego wielkiego poety, ile hańbą dla naszej epoki zamętu i zacofania.

W ciągu kilkunastu lat radykalnie zmieniło się nasze nastawienie wobec Schillera. Przestaliśmy kaprysić na temat stylu scenicznego, montażu, etc.., nie interesuje nas w tym stopniu co kiedyś eksperyment teatralny w rodzaju Pirandella, Jewreinowa, Kaisera, Witkiewicza, Meyerholda. Dziś chętniej sięgamy do dna utworu samego, do jego idei. Mniejsza o przestarzałą formę, naiwność techniki, prymitywizmu charakterystyki, najważniejsze to, że słyszymy ze sceny słowa, których broni przed cenzurą immunitet tradycji półtorawiekowej.

Płomienny bunt przeciw tyarnii, apoteoza cnót republikańskich, walka o wolność kraju — te hasła Schillera w dzisiejszych czasach stają się na nowo świeże, zaktualizowane, przemawiają żywo do uczuć współczesnego widza. I dlatego przeżywamy obecnie na scenie silny renesans dramatów Schillera. Już na wznowionym dwa lata temu „Don Karlosie" słowa „swoboda myślenia" wywołały żywe oklaski, a obecnie „Fiesko" wzbudził zainteresowanie dla problematyki, zdawało by się kompletnie już załatwionej i rozwiązanej, a w rzeczy samej bardzo jeszcze — a raczej znowu — żywotnej i odmłodzonej.

Wystawienie „Fieska" na scenie Teatru Narodowego nie oznacza — rzecz prosta, — faktu odczucia tej aktualności przez dyrekcję teatru. Jest to prawdopodobnie czysty przypadek, bo Teatr Narodowy, idąc po najłatwiejszej linii oporu, wznawia co pewien czas arcydzieła i dzieła klasyczne, a można nawet zaryzykować sąd, że wcale nie spodziewano się tego rodzaju reakcji, która zresztą przypomina aktualne oddźwięki w czasie przedstawień „Wesela Figara" Beaumarchais'go granego obecnie w Teatrze Polskim.

„Sprzysiężenie Fieska w Genui" to najsłabsza sztuka Schillera, rzadko wystawiana, z punktu widzenia techniki dramatycznej bardzo surowo osądzona. Niemieccy krytycy wytknęli młodziutkiemu pisarzowi brak klasycznego konfliktu dramatycznego, wypływającego z istotnej konieczności, a który by uprawdopodobnił pobudki działania głównego bohatera. Samo sprzysiężenie Fieska opiera się na dość kruchych podstawach etycznych, za mało wreszcie mamy zaufania do świadków oraz motorów działania spiskowców. Verrnia jako purytański republikanin jest nam daleki nie tylko przez swą rzymską surowość, ale i przez psychologicznie sztuczną i śmieszną postawę wobec zgwałconej przez tyrana córki. Postaci kobiece są niezdecydowanie i niewyraźnie naszkicowane. Jedynie murzyn jest żywo i naturalnie nakreślony, lecz ta dobrze postawiona postać fatalnie wpływa na nasz osąd o Fiesku, który na tle tego murzyna dość mętnie się prezentuje. W ogóle lichej i niewykończonej postaci Fieska daleko do mocnych i zdecydowanych charakterów markiza Pozy, don Carlosa, Wilhelma Tella Moorów i w in.. W tych słabych stronach dramatu świetnie orientuje się publiczność teatralna, tym bardziej, że wątek sceniczny tej „tragedii republikańskiej" jest — jak na nasze gusta — tak naiwnie i nieumiejętnie sklecony, że zainteresowanie dla samej akcji już po drugim akcie spada do minimum

Dzisiaj przecież nie zadowala nas ani sposób dzielenia charakterów na czarne i anielskie, ani też nie uznajemy takiej budowy dramatu, w którym pierwsze dwa akty zdradzają dalsze perypetie i rozwiązanie, faktycznie już dla widza przesądzone. Wielkiej trzeba cierpliwości, aby słuchać, jak to autor mota intrygami osoby niewtajemniczone w zagadkę, przez czytelnika już dawno rozwiązaną dzięki informacjom osób wtajemniczonych. Taka technika uniemożliwia wprost wysłuchanie do końca dramatu.

A jednak...

A jednak jest coś, co nas porywa, przemawia do rozumu, za serca chwyta, na fantazję działa i mocno fascynuje naszą uwagę. To ta szlachetna pasja, z jaką Schiller walczy z dyktatorskimi zapędami tyranów „zmieniających świat w więzienie, brzęczące łańcuchami". To namiętne umiłowanie swobody myśli, słowa i czynu człowieka, o którego prawa walczy młodziutki Schiller w wszystkich swych dramatach, osnutych na tle różnych epok historycznych, lecz zawsze zmierzających do tego samego celu. To wzniosły humanitaryzm tego zapalonego bojownika o wolność, równość i braterstwo.

Ten moment decyduje o naszym nastawieniu do dzieła Schillera, każe nam zapomnieć o anachronizmie rekwizytów wczorajszych i przedwczorajszych, bo jego ideał demokratyczny — niestety— na nowo ożył dla współczesnego widza teatralnego.

To ciągłe przewartościowywanie wartości, dokonywujące się na naszych oczach, gotuje nam jeszcze niejedną niespodziankę. Kto wie, ilu pisarzy — począwszy od Sokratesa a skończywszy na Dickensie, Hugo, Zoli, Ibsenie, Orzeszkowej — doczeka się jeszcze odmłodzenia, odświeżenia i odrodzenia. Już nie ulega wątpliwości, że dzisiaj — w obliczu agonii ideałów demokratycznych — taka doktryna Monteskiusza, która stanowiła pożywkę dla całego wieku XIX-go, a dziś znajduje się pod ostrym i druzgocącym obstrzałem, staje się dzięki powrotnej fali przedmiotem marzeń, a więc ideałem aktualnym i na scenie.

Mniejsza, że ideał tu musi siłą rzeczy ulegać koniecznym ewolucjom, które przebrażą oblicze i kształt jego. Zużyta forma wczorajszych i przedwczorajszych haseł, głoszonych przez piewców tamtych epok, nigdy nie nada się do przystrojenia nowej treści.

Ważniejsza jest to, że mutatis mutandis w zmienionej formie i nowej szacie z silną dynamiką rozwija się nadal ten sam szlachetny i odwieczny pęd do ujarzmienia tyranów naszych swobód. Tęsknota za tymi wartościami wyzwala się w nas właśnie w takich chwilach, gdy słuchamy ognistych tyrad Schillera czy przekonywającej argumentacji Figara Beaumarchais'ego, które dlatego umożliwiają nam wysłuchanie z zaciekawieniem takich już zwietrzałych dramatów, jak „Fiesko".

Melania Waserman

POWÓDŹ

Jeszcze wczoraj fala gładka łódkę twoją niosła,
tylko tu i ówdzie nurt się skłębił w garb wypukły —
Niby ostre złote noże rozkrawały wodę wiosła.
Tors twój prężył się na słońcu. Nagi. Smukły.

Szelest jak westchnienie przelatał mokrym sitowiem,
rzeka lśniła rtęcią, poorana w łuski srebrne —
Wiem: są słowa, których nigdy więcej nie powiem,
Słowa jak miłość ślepe. Jak miłość niepotrzebne.

Cisza skwarna, pachnąca, miodowa nad wodą nawisła,
spokojnym dosytem puszyły się przybrzeżne piachy —
Między Toruniem a Płockiem łagodnie rozlała Wisła,
ujęta półkrągłym pierścieniem piaszczystej łachy.

To było wczoraj. A dziś pod Warszawą mostowe przęsła,
podważa rzeka wezbrana, mętna, brudnie spieniona —
Brzegi za sobą porwała, domy podmyła, rozstrzęsła,
ciągnie na fali snopy, napół przegniłe bierwiona.

Gdzie się podziały na toni świetliste łuski rtęci,
gdzież się podział spokój na tej wiślanej wodzie?
I ciebie, i ciebie jak w odmęt pogrążę w nurt niepamięci,
ciebie oddam na pastwę fal odchodzącej powodzi.

Ostatnią myśl o tobie rzucę w wir pod mostem,
na zawsze niech zaginie w czarnej wód topieli,
niech się na samym dnie oplecie śliskim wodorostem,
niech jak topielec na brzeg się wrócić nie ośmieli.

KRONIKA LITERACKA

„EUGENIUSZ ONIEGIN" PUSZKINA PO HEBRAJSKU

Wybitny hebraista Abraham Lewinson wydał ostatnio w Tel Awiwie doskonały przekład hebrajski „Eugeniusza Oniegina". Lewinson nad przekładem puszkinowskiego poematu pracował przez osiem lat.

SZTUKA NOWACZYŃSKIEGO O KOPERNIKU

Adolf Nowaczyński, który w ostatnich czasach zrezygnował z mało zaszczytnej pracy publicystycznej, napisał obecnie sztukę teatralną p. t. „Cezar i Człowiek". Akcja sztuki rozgrywa się dokoła konfliktu Cezara Borgii z młodym lektorem uniwersytetu rzymskiego Mikołajem Kopernikiem.

SZTUKA ANTYHITLEROWSKA W TEATRZE BERLIŃSKIM

W Deutsches Theater wystawiono „Don Carlosa" Schillera. Sztuka ta, będąca wyrazem demokratycznych i liberalnych poglądów genialnego poety, jest w każdym calu zaprzeczeniem tych wszyskich haseł, które szaleją dziś w hitlerowskich Niemczech. Nic zatem dziwnego, że w czasie przedstawienia, gdy margrabia Poza zwrócił się do Filipa V z wstrząsającym apelem: „Królu, daj nam wolność myśli" — na widowni zagrzmiały gorące oklaski, które trwały przez dłuższą chwilę.

„PRZYGODY BENIAMINA III" NA SCENIE „TEATRU MŁODYCH"

W najbliższym czasie „Teatr Młodych" wystawi nową premierę, którą będą „Przygody Beniamina III" Mendele Mocher Sforim w reżyserii dr. Weicherta.

NOWA KSIĄŻKA KADEN BANDROWSKIEGO

Juliusz Kaden-Bandrowski wydaje tom artykułów polemicznych p. t. „Wśród wielmożów i głowaczy". Poza tym pracuje obecnie Bandrowski nad nową powieścią, w której poruszy zagadnienia współczesnej polskiej rzeczywistości.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES FILOZOFÓW POD PRZEWODNICTWEM HENRI BERGSONA

Zwołany został na dzień 6 sierpnia międzynarodowy kongres filozofów pod przewodnictwem słynnego filozofa żydowskiego Henri Bergsona. Kongres stać będzie pod znakiem obchodu jubileuszu trzechsetlecia Kartezjusza. W Kongresie weźmie również udział jeden z najwybitniejszych naszych filozofów Rektor U. H. w Jerozolimie prof. Hugo Bergmann.

PIŁSUDSKI JAKO PISARZ, DRUKARZ I WYDAWCA

Min. W.R. i O.P. zaleciło jako lekturę dla szkół powszechnych i średnich nową książkę o Marszałku Piłsudskim p. t. „Marszałek Piłsudski jako pisarz, drukarz i wydawca". W książce omówiony jest okres pracy Pisudskiego w charakterze wydawcy konspiracyjnego „Robotnika".

METAMORFOZY JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

Józef Łobodowski ,ongi proletariacki poeta, potem sanacyjny laureat Polskiej Akademii Literatury, obecnie wylądował w zgleichszaltowanym „Kurierze Porannym" u boku Ferdynanda Goetla. Dziwne i smutne dzieje Baryki...

PAMIĄTKI PO HERZLU

Po zgonie wdowy po Teodorze Herzlu pewna osoba nabyła umeblowanie pokoju stołowego w mieszkaniu Herzla. Umeblowanie to nabył obecnie p. N. J. Gutman z Polski, który zamierza je podarować mającemu niebawem powstać w Jerozolimie Instytutowi Herzlowskiemu.

„MORZE W POEZJI POLSKIEJ"

Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej ukazała się świetna ułożona przez Zbigniewa Jasińskiego antologia marinistyczna p. n. „Morze w poezji polskiej". Nazwisko Zbigniewa Jasińskiego, marynarza, którego do zerwania z morzem zmusiła fatalne złamanie ręki, z literaturą morską związany jest już spoiście, zarówno ze względu na jego twórczość poetycką, jak też z uwagi na jego morską działalność publicystyczną i literacko-krytyczną.

„SZARFA CIEMNOŚCI" PAWŁA HERZA

Nakładem księgarni F. Hoesicka ukazał się tom wierszy tego mołdego poety p. t. „Szarfa ciemności".

„NOWA KWADRYGA"

Ukazał się numer II-gi czasopisma artystyczno-literackiego p. n. Nowa Kwadryga. Specjalną uwagę zwraca w Kwadrydze doskonały rewolucyjny wiersz poety polskiego z ośmnastego wieku Jakuba Jasińskiego p. t. „Wiersz w czasie obchodzonej żałoby przez dwór polski po Ludwiku szesnastym". Utwór ten ,swym doskonałym ujęciem technicznym i niezwykle rewolucyjnym tonem społecznym — sugestionuje czytelnika. Takich tonów nie spotykało się dotychczas w całej proletariackiej poezji polskiej.

W mroku czarnych skrzydeł

HALINA KRAHELSKA. Polski strajk, — Warszawa, 1937, „Rój".

Powieść reportażowa. Co więcej — tendencyjna. A mimo swój rodowód, tak źle widziany z punktu widzenia epiki, powieść ta spełnia swe zadania artystyczne. Jest w niej prawda nie tylko faktów, ale i ludzi. Nie ma cyfr, nie ma suchej statystyki, którą z pewnością rozporządza p. Krahelska jako inspektor pracy, ale jest ta syntetyczność sylwetek, która odróżnia obraz od fotografii, a powieść od reportażu.

Interesująca i wcale niebanalna jest kompozycja tej książki. Poszczególne rozdziały odsłaniają niby segmenty wachlarza postaci powieści, jedno ogniwo zazębia się o drugie, ale dopiero cały rozpostarty wachlarz odmalowuje pełny obraz rzeczywistości robotniczej.

Tak, jak „Czarne skrzydła" Kadena są epopeią Śląska pracującego, tak „Polski strajk" Krahelskiej jest zwartą, krótką epopeią fabrycznego miasta prowincjonalnego w Polsce — może Łodzi, może Tomaszowa, może Radomia. Na szpulach tych wreszcie wije się dola robotnicza, wszędzie taka sama, bezradna, gdy nie zorganizowana, groźna gdy skupiona, scalona w jedno. Ale w siłę tej jedności, wiążącej, spajającej środowiska robotnicze, wierzy autorka z mocą, z jaką wierzył poeta: „Będę silny, jak to, co zdobędę".

Nie tylko wiarą, ale i krzepiącym optymizmem przepojona jest powieść Krahelskiej. „...idzie już ku nam jasny wiew, świta lepszy dzień". Poprzez poniewierkę dziewcząt, które „obowiązkowo „muszą przejść przez badania portiera i próbę miłości pana majstra, poprzez szachrajstwa delegatów robotniczych, uprawiających podwójną grę, poprzez strusią politykę inspektorów pracy, których wpływy są niewielkie, a obawa o własną pieczeń przemożna, poprzez obojętność społeczną i sobkostwo prowincjonalnych Kostryniów przedziera się wola robotników ku lepszemu jutru. „Nabierz otuchy" — mówi im Krahelska słowami Malraux — „nabierz otuchy"... Głębokie przekonanie o słuszności sprawy, za jaką walczy polski robotnik, bije ze stronic tej książki.

Lecz sąd Krahelskiej nie pozwala się zaciemnić siłą afektywną ideowych pobudek. W rozdzielaniu świateł i cieni stara się być obiektywna i sprawiedliwa. „Czarne skzydła" mają swe białe podbicie, a ci, którzy giną w ich mroku, wcale nie są wybieleni siłą kontrastu. I szatan, który rozpostarł czarne skrzydła nad światem robotniczym, to nie jeden, zły czy dobry, człowiek. To coś więcej.

Białe karty książki mają swą przejmującą wymowę.

TADEUSZ HIŻ. Talent, dziwactwo i coś jeszcze. — Warszawa, 1937, „Rój".

Jeśli znane wśród autorów powiedzenie, że „tytuł, to połowa powodzenia" jest prawdą, to o książce p. Hiża można powiedzieć, że zasługuje ściśle na tę połowę powodzenia, którą zyskać może tytuł. Jest to zbiór felietonów, pisanych po dziennikarsku, a raczej po gawędziarsku, żeby nie powiedzieć po plotkarsku. Czym mogą być „plotki, plotki...", podane soczyście i z werwą, oddające ów nieuchwytny klimat, ową „ambiance" człowieka piszącego, jakiej nie oddadzą ani jego utwory, ani życiorys, czym może być podmalowanie tła i pogłębienie perspektywy, w której zarysowuje się postać historyczna, to nam pokazał Boy w swych niezrównanych szkicach. Widocznie w czasach naszych, wymagających wyścigu uzdolnień, wszystko, co się robi trzeba robić dobrze. Nawet — plotkować.

P. Hiż w tym kierunku, niestety, talentu nie ma. Miał za to owe szczęśliwe „coś jeszcze": od wczesnej młodości przebywał z ludźmi sławnymi, napatrzył się, nasłuchał, a co zapamiętał, to sobie po gospodarsku opisał. A jak napisał, to nawet nie zadał sobie tyle trudu, aby przeczytać. I część z tego, co zapamiętał, odcedził, żeby się broń Boże kto z żyjących rówieśników nie domyślił i nie obraził. Więc jeśli cytuje jakieś anegdoty, to albo wybiera tak niewinne, że nie są dowcipne, a jeśli są dowcipne, to potrafi do tego stopnia zamazać pointę, że przestają być zrozumiałe. Gdyby p. Hyż pofatygował się przeczytać przed oddaniem do druku zbiór swych felietonów, prawdopodobnie pisanych na kolanie, to spostrzegłby niechybnie, że należy im się jakie takie oszlifowanie, dbałość o niepowtarzanie tych samych szczegółów w różnych miejscach i o większą ścisłość przytaczanych danych historycznych. Już nie mówiąc o dbałości, o rzecz tak elementarną, jak korekta. Nawiasem mówiąc, jeden z nielicznych dobrych dowcipów, jakie podaje autor książki, jest to historyjka o fatalnym przekręceniu nazwiska Rosjanina Ursyn-Zamarajewa. Rosjanin nie obraził się, ale napisał do redakcji krótką kartkę pocztową z gratulacją i komplementami dla nowego pisma, ale zakończona złośliwym post-scriptum: „tylko korekta nieco szwankuje." I ten sam zarzut jak bumerang wraca do pana Hiża: na str. 162 jego książki, przed zacytowaniem znanego czterowiersza Asnyka „Daremne żale, próżny trud" widnieje uwaga, że wiersz ten Józef Tretiak nazywa pobudką. Co to jest pobudka, niech ciekawych objaśni autor.

Książka p. Hiża nie zasługiwałaby na tak szczegółową analizę, gdyby nie pewien drobiazg, bardzo charakterystyczny i bardzo interesujący. W powodzi cytowanych nazwisk raz po raz padają nazwiska Żydów, którzy w epoce rówieśników czy antenatów p. Hiża brali duży udział w życiu publicznym i literackim. Wierząc w dobrą sprawę asymilacji, wnosili do skarbnicy kultury polskiej wartości bynajmniej nie poślednie. Te nazwiska akaparuje p. Hiż bez jakiegokolwiek zdziwienia czy nawet zamyślenia nad tym faktem. Wydawać by się mogło, że jest to mu tak obojętne, że aż wydaje się oczywiście i zrozumiałe. Ale nie!—w ostatnim z kolejności felietonie wyłazi szydło z worka — p. Hiż wyraża obawę, że „Icek Magenfisz zmieni najspokojniej rodowe nazwisko na Zbaraski," a „Moniek Kon przeobrazi się nagle w Maurycego Przerwica"...

Nie trzeba przyglądać się pod mikroskopem, aby dopatrzyć się znamiennych filiacyj między „Gazetą Polską" a... „Podbipiętą".

ME—WA

J. ERNICZ - HOMAŃSKA

Konkurs Chopinowski

Konkurs chopinowski wywołał zainteresowanie kolosalne, wręcz nadspodziewane. Przez blisko 3 tygodnie wielka sala Filharmonii była codziennie niemal zapełniona, zaś w dniu ostatnich rozgrywek finałowych nie tylko wszystkie miejsca były sprzedane, lecz publiczność nad kompletowa stała w przejściach i tłoczyła się we drzwiach.

Mnóstwo ludzi, mało interesujących się muzyką, lub zupełnie niemuzykalnych, którzy zazwyczaj na koncerty nie chodzą — płaciło wysokie ceny za bilety i potrafiło wytrwać w ostatnim dniu rozgrywek od 6-ej po poł. do chwili rozdania nagród t. j. do 3-ej w nocy. Dość powiedzieć, że o 3-ej rano sala była szczelnie nabita!

Prawdę powiedziawszy, lwia część publiczności przyszła na rozgrywki nie tyle w celu usłyszenia pięknej interpretacji Chopina i rozkoszowania się wrażeniami artystycznymi — ile dla zaspokojenia ciekawości, kto zwycięży? względnie który z pianistów lepszy?

Takie pytania słyszało się bezustannie, zupełnie jak na zawodach sportowych.

Od chwili ogłoszenia wyniku konkursu, krąży z ust do ust pytanie, kierowane zwłaszcza pod adresem muzyków: czy nagrody zostały sprawiedliwie rozdzielone?

Jeżeli poważnie, a nie zdawkowo, potraktować to pytanie, to uczciwie na nie odpowiedzieć można dopiero po dokładnym zanalizowaniu samej zasady konkursu i jej racji bytu.

Uczynimy to w następnym artykule; na razie ograniczamy się do stwierdzenia, że bez względu na sprawiedliwość przy podziale nagród, konkurs ma przede wszystkim ogromne znaczenie z trojakiego punktu widzenia: 1. propagandowo-politycznego, 2. popularyzowania muzyki, względnie umuzykalnienia szerokich mas, przysłuchujących się produkcjom konkursowym, 3. pożytku, jaki przynosi międzynarodowej młodzieży pianistycznej, przyjmującej udział w konkursie.

Z górą setka cudzoziemców, przybywających do Warszawy (nie raz z b. odległych krajów jak np. Japonia czy Stany Zjednoczone), bądź w charakterze członków jury, bądź uczestników, zawodniczących w konkursie — korzysta z niezwykłej gościnności społeczeństwa warszawskiego oraz troskliwej opieki władz. To też większość opuszcza Polskę pod bardzo dodatnim wrażeniem, nawet ci, co niezadowoleni z wyników konkursu, pomstują na wyroki jury, przyznają, że tak życzliwego przyjęcia jak w Polsce, nie doznaje się podczas konkursów w żadnym innym kraju.

Konkurs przyciąga tłumy słuchaczy, zazwyczaj mało garnących się do muzyki; poza tym daje możność uczącej się młodzieży muzycznej i pedagogom wielokrotnego wysłuchania rozmaitych produkcji pianistycznych, różniących się od siebie czy to sposobem gry, czy rodzajem interpretacji, co niewątpliwie wielką korzyść przynosi zarówno uczącym, jak i uczącym się muzyki.

Dzięki konkursowi około 80-u młodych pianistów, reprezentujących 22 państwa, miała możność wypróbowania swych sił, popisania się przed liczną publicznością oraz gronem jury t. j. poważnych muzyków, przybyłych z różnych stolic europejskich. Jest to niezmiernie ważne dla ich kariery, — wielkie ułatwienie w stawianiu pierwszych kroków estradowych, gdyż wiadomo, że jeśli młody pianista o nieznanym nazwisku chce dać koncert, musi za to zazwyczaj grubo zapłacić; a jeśli nie ma dość znajomych w danym mieście — musi w dodatku grać przed pustą salą, co do przyjemności nie należy.

Tak więc, nie wnikając narazie w istotę rzeczy konkursu, w samą zasadę porównania, na której konkurs polega, widzimy, że konkurs daje pewne plusy, które same już poniekąd uzasadniają organizację takiej imprezy.

Mimo to,mądre ustosunkowanie się do sprawy konkursu powinno polegać na tym, by n i e p r z y w i ą z y w a ć z b y t n i e j w a g i d o w y r o k ó w j u r y.

Praktyka poucza, że często laureaci, nawet zdobywcy I-ych miejsc, nie robią wielkiej kariery, podczas gdy odpaleni ich konkurenci w krótkim czasie zdobywają większą od nich sławę i lepsze imię w świecie.

Aby narazie nie dotykać bolączek ostatnich 3-ech konkursów chopinowskich w Warszawie, zacytujemy dla przykładu, że Artur Rubinstein, odpalony na jednym ze sławnych przedwojennych konkursów fortepianowych im. Antoniego Rubinsteina, zdobył, jak wiadomo, o wiele większą sławę w świecie, niż Alfred Hoehm, laureat tegoż właśnie samego konkursu.

* * *

Z ogólnego wrażenia ostatniego konkursu należy wyciągnąć jeden zasadniczy wniosek: mianowicie, że obecnie najlepszą szkołą fortepianową w świecie, jest szkoła rosyjska. Prawidłowy kontakt z klawiaturą daje brzmienie niesłychanie żywe i pełne blasku, które od razu przykuwa uwagę słuchacza. Ton miękki, a jednak nie zbytnio rozmiękczony, naginający się z łatwością do najsubtelniejszych niuansów, decyduje o fluidzie, który od razu wypływa z fartepianu ku słuchaczowi.

Produkcje wszystkich czterech pianistów sowieckich (Jakow Zak I-a nagroda i nagroda za najlepsze wykonanie mazurków, Róża Tamarkina II-a nagroda, Tatiana Goldfarb 9-a nagroda i Nina Emelianowa, dyplom miejsce 19) stały na b. wysokim poziomie. Każda z tych produkcji miała odmienną fizjognomię, w zależności od indywidualności i rodzaju talentu pianisty.

Obok pianistów sowieckich spośród cudzoziemców, wybitny talent pianistyczny wykazała Węgierka p. Agi Jambor (V-a nagroda); następnie utalentowanymi okazali się: Anglik p. Lance Dossor (IV-a nagroda i nagroda za najlepsze odegranie sonaty), Francuzka p. Monique de la Bruchollerie (VII-a nagroda) i Niemka p. Edith Axenfeld (VI-a nagroda).

Na czoło polsikej ekipy wysunął się p. Witold Małcużyński (III-a nagroda) którego talent interesował nas wielokrotnie podczas jego dotychczasowych występów w Warszawie, bądź w charakterze absolwenta konserwatorium, bądź samodzielnego pianitsy, oraz p. Jan Ekier (VIII-a nagroda), uczęszczający jeszcze jako uczeń do warszawskiego konserwatorium, a już znanym jako uzdolniony kompozytor.

Ogromne powodzenie i sympatię publiczności zdobył sobie gość egzotyczny, Japonka, p. Chieko Hara, dyplom 15-e miejsce uczennica Lazara Lévy w Paryżu, która w 2 dni po zakończeniu konkursu otrzymała jeszcze dodatkową nagrodę (300 zł.) ufundowaną przez „grupę słuchaczy polskich i zagranicznych dla uczestnika konkursu z poza Europy, otrzymującego najwyższą punktację".

Z braku miejsca dalsze omówienie produkcji laureatów odkładamy do dalszych artykułów.

L. STRAKUN

Salon malarski 1937 w I. P. S-ie

Salon Malarski w I. P. S.-ie jest pierwszym salonem eliminacyjnym współczesnego malarstwa polskiego. Odrzuciwszy dotychczasową tradycję wyboru prac przez t. zw. „jury" — zaproszono artystów, którzy jako członkowie dwóch największych zrzeszeń: Zw. Zaw. Pol. Art. Plastyków i „Bloku" otrzymali w ostatnich latach nagrody — zaproszono również szereg nienagrodzonych malarzy. Sprawa „eliminacji" była już obszernie i gorąco omawiana w prasie, toteż zajmiemy się jedynie oceną artystyczną wystawy, będącej dość dokładnym przeglądem dorobku dzisiejszego malarstwa w Polsce.

Na czołowe miejsce współczesnego malarstwa polskiego wysuwa się niewątpliwie wspaniała twórczość J a n a C y b i s a. Radosny ten fakt nie może już chyba dzisiaj podlegać dyskusji.

Jego „Martwa natura" z 1936 r. jest — nie waham się użyć tego określenia — arcydziełem nowej sztuki polskiej. Cybis w dziele tym przezwyciężył materię malarską, z którą ustawicznie walczył.

Materiał nie stawia mu już oporu. To nie tylko malarstwo, to także poezja, poezja barwy i trudnej, bo pozornie konwencjonalnej treści. Głęboka kultura artysty, oparta na najistotniejszych zdobyczach sztuki Cezanne'a i postimpresjonizmu, znalazła w tym dziele swój odrębny, indywidualny wyraz. Cybis niemal całkowicie odrzuca walor na rzecz kontrastu barw, które mimo najśmielszych zestawień, zadziwiająco harmonizują ze sobą, tworząc stłumioną, opalizującą, organicznie zwartą jedność malarską. Nie ma tu już nic z przypadku, ani też nic na efekt. Olbrzymia wiedza, zdobywcza umiejętność różnicowania koloru, świadome rozbijanie każdej plamy na szereg kontrastujących rzutów, mądre, celowe konstruowanie całości, podkreślanie wagi, ciężaru ciekliwej farby, wreszcie szlachetny umiar i prostota we władaniu środkami — oto tajemnica sztuki Cybisa.

Prace T y t u s a C z y ż e w s k i e g o cechuje, jak zwykle na wskroś oryginalne widzenie świata „Kirasjer napoleoński na koniu" — to współczesna transpozycja malarstwa Gericaulta i Michałowskiego. „Kirasjer", mimo pewnych konstrukcyjnych niedociągnięć, jest nader ciekawą próbą malarstwa dekoracyjnego. Czyżewski usiłuje określić w jednej płaszczyźnie kolorem anegdotyczną wizję, nie odbiegając przy tym od realnej rzeczywistości.

„Kwiaty" i „Pejzaż" p. R u d z k i e j - C y b i s o w e j zdumiewają lekkością i przejrzystością naświetlonego koloru, który artystka rozkłada, jak gdyby na czyste pigmenty. Mimo ruchliwej i wibrującej światłem i powietrzem powierzchni, płótna te nie są pozbawione funkcji kompozycyjnej, a to dzięki odpowiedniemu rozplanowaniu poszczególnych partii.

„Wnętrze" T a d e u s z a P o t w o r o w s k i e g o jest w naszych, specyficznych warunkach dziełem wręcz rewelacyjnym. „Wnętrze" jest zbudowane na zestroju kilku zasadniczych barw: żółtej, czerwonej, niebieskiej, zielonej. Barwy te założone przeważnie szerokimi plamami w ramach poszczególnych figur i przedmiotów, łączą się w jedną złocistą, jaśniejącą od wewnątrz, muzycznie brzmiącą harmonię. Sugestie wielkiej sztuki Bannarda widoczne w niektórych fragmentach zostały przecież w rezultacie, w obrazie tym przetworzone na nową, artystyczną wizję plastyczną. Obok nieoczekiwanych zestawień barwnych, zadziwia znakomite opanowanie trudnej kompozycji figuralnej. Nie mniej fascynuje pomysłowość z jaką Potworowski równoważy dynamiczne narastanie kształtu wydobywanego kolorem — planowym porządkiem, kompozycji i wewnętrzną ciszą treści. J ó z e f C z a p s k i w syntetycznym pejzażu („Gołębie nad Wisłą") poszukuje waloru w granicach jednej tonacji, razkładając granat i niebieski na szereg gradacji i niuansów. Większą swobodą i różnorodnością koloru odznacza się „Wnętrze", w którym artysta stosuje technikę „mieszaną", a więc walor obok kontrastu. W pracy tej Czapski z ogromną brawurą, nie dbając już o „przyjemne" efekty walorowe kontrastuje kolory ciepłe z zimnymi, przy czym wyraża grę światła, głąb przestrzeni, ciężar postaci i przedmiotów samą barwą, może nieco surową, lecz intensywną i zmysłową.

Niebiesko-brązowy olej „Czytająca" T a r a n c z e w s k i e g o zaciekawia oryginalnym ujęciem. Taraczewski daje szeroko traktowaną, spokojną, zamkniętą formę, kojarząc kolor z trwałą konstrukcją realnego przedmiotu.

„Akt" H e n r y k a G o t l i b a malowany z rzedko spotykaną pasją robi wrażenie nieco efekciarskie i tanie: obok śmiałej kontrastowej głowy — nonszalancko machnięte ręce. W „Bezdomnych" A l e k s a n d e r R a f a ł o w s k i nawiązuje zdecydowanie do tematu, który nie jest tu bynajmniej wstydliwie ukrytym pretekstem, lecz elementem o znaczeniu socjalnym, ujętym w karby rzetelnego malarstwa. Obraz ten znakomicie skonstruowany, pełen pomysłowych perspektywicznych skrótów i pozycji figuralnych, mimo twardzizn kolorowych i zbyt już brutalnej faktury, przemawia do widza sugestywną plastyką fabuły Malarstwo J a n a W o d y ń s k i e g o o technice częstotliwych, zróżnicowanych rzutów, układających się w pewnej odległości, w syntetyczną całość, odznacza się rytmem i finezją kolorytu, zdefiniowaną formą oraz utajoną, poetycką ekspresją.

E m i l S c h i n a g e l tym razem porzuca anegdotę, dając we „wnętrzu" jakby kontrapunkt jasnych płaszczyzn. Płaszczyzny te, a raczej konturowo określone plany, układa artysta z niemal architektoniczną logiką, odrzucając tak charakterystyczny np. dla Kapistów, system drobnych dotknięć pędzla, wprowadzący częstokroć niepokój i płynność formy.

Niestety, brak miejsca nie pozwala mi na dokładniejsze omówienie szeregu interesujących eksponatów. Wymienię zatem pokrótce: czerwonawo złocistą, malowaną z nieprzeciętnym wyczuciem materii barwnej „martwą naturę" F e d k o w i c z a, dyskretnie stonowany, o płynnej i podkreślonej kolorem formie „Pejzaż" T o m o r o w i c z a, dynamiczny dzięki „pointilistycznej" technice, kontrastowy pejzaż B o r a c z o k a, nieco może zbyt zawualowane pejzaże G e r ż a b k a, pełen wyrafinowanej dystynkcji pejzaż H r y ń k o w s k i e g o, oryginalny dobrze skomponowany, walorowy pejzaż J a r e m y, wreszcie obrazy Seydemanowej, Kosowskiego, Lama, J. Żuławskiego, Krehy i Blondera.

Ogólny poziom wystawy, abstrahując od kilku fatalnych płócien i nieszczęsnej, pomylonej grupy „Bloku" — wysoki. Jest w tym dużo zasługi generalnego komisarza wystawy dra Mieczysława Tretera. Nie jesteśmy bynajmniej entuzjastami jego dotychczasowej działalności, musimy przecież przyznać, że wykazał on maximum inicjatywy i bezstronności w warunkach niezmiernie trudnych i wyjątkowo drastycznych.



Aleksander Rafałowski „Bezrobotni"

SPRZECZNOŚCI POZORNE

(Dokończenie ze str. 1-ej)

jonişci nie przyjmują maksymalistycznego programu rewizjonizmu czyli t. zw. N. O. S. W tym właśnie cała rzecz, że program maksymalny p. Żabotyńskiego nie jest ani programem, ani maksymalny. Program to nie znaczy wcale sformułować tylko, C O się chce, ale jednocześnie J A K to osiągnąć, i K T O ma cel dany wywalczyć, zrealizować.

Na pytanie: co? — odpowiada wprawdzie p. Żabotyński: bardzo dużo!, ale jego odpowiedź na dwa pozostałe, a przy tym rozstrzygające pytania, prowadzi w konsekwencji do p o m n i e j s z e n i a tego, co Organizacja Syjonistyczna (ta urzędowa, ta stara) tworzy — podkreślam: nie głosi, a tworzy. Syjonizm stoi na gruncie rzeczywistości i wie, że granicą możliwości imigracyjnych Palestyny jest jej pojemność gospodarcza, to też gros swych wysiłków skupia na rozbudowie gospodarczej kraju, i w ten sposób doprowadziła w r. 1935 do imigracji 60 tys. Żydów przy potencjalnej pojemności ekonomicznej, sięgającej 100.000 imigrantów rocznie. Rewizjonizm zaś ogłosił był w r. 1930 maksymalistyczne podówczas żądanie doprowadzenia kwoty imigracyjnej do cyfry 35 tys. w roku 1935. Organizacja Syjonistyczna sprzeciwiła się wtedy bezpodstawnemu narzucaniu władzy mandatowej wyspekulowanych tabel emigracyjnych, ale pracą swą organiczną i konstruktywną polityką doprowadziła do rezultatu, przekraczającego maksymalizm Żabotyńskiego prawie o 100 proc. Teraz prorok żydowskiego faszyzmu wykoncypował sobie cyfrę 150 tys. imigrantów rocznie — cyfrę imponującą, wprowadzającą w zachwyt nawet tak trzeźwego skądinąd publicystę, jak B. K. z „Kuriera Warszawskiego", ale cyfrę bezpodstawną, nierealną. Zapewne syjonizm do tej cyfry dojdzie, ale drogą długiej i ciężkiej pracy politycznej i kolonizacyjnej, naturalnie, bez udziału p. Żabotyńskiego i jego groteskowych oddziałów szturmowych. Na pytanie: jak? — odpowiada syjonizm: tworzyć, i tworzy; p. Żabotyński zaś oponuje: wystarczy głosić, i głosi. Rewizjonizm to maksymalizm pozorny, bo chce dużo, a nic, dosłownie nic nie robi — syjonizm zaś chce wszystko; żąda tyle, ile już dojrzało do osiągnięcia, a wyzyskuje dla realizacji każdą koniunkturę, każdą szansę, każdą choćby najdrobniejszą możliwość, i to w każdych warunkach.

Powiedzieliśmy , że syjonizm chce W S Z Y S T K O. Co to znaczy? — dla nas wszystkim jest nie tylko wyzwolenie narodu żydowskiego, odbudowa państwowości żydowskiej, urzeczywistnienie ideałów naszych proroków o pokoju wiecznym, o zgodnej rodzinie narodów, o sprawiedliwości socjalnej—słowem wcielenie w czyn wizji Izajasza i Amosa. Ale wstępnym warunkiem do tego dalekiego jeszcze celu jest organizacja narodu dla walki o ideał samowyzwolenia. Oto nasza odpowiedź na pytanie: kto? Otóż rewizjonizm p. Żabotyńskiego jest zamachem na zaczątek tej organizacji narodu, na ustanowioną przez Herzla dyscyplinę narodową, na urządzenia demokratyczne Organizacji Syjonistycznej. Rewizjonizm to de facto siła, oddalająca syjonizm od urzeczywistnienia, siła — na szczęście — nikła i nędzna.

Wykazaliśmy wyżej, że nie ma sprzeczności faktycznej między działaniem syjonizmu w Palestynie i w Diasporze. Rewizjonizm — zdegenerowana i karykaturalna postać syjonizmu — w sprzeczność tę popada. Bo oto zrozumiał, że sprzymierzeńcem jednej niepoczytalnoścj może być tylko druga niepoczytalność. I stało się, że taki von Weisl, wulgaryzując i wykoszlawiając zdania teoretyków syjonistycznych, dogadał się do usankcjonowania antysemityzmu w Polsce, do lekkomyślnego zdezawuowania walki mas żydowskich o równouprawnienie tu w kraju, do niecnej napaści na — na łamach „Czasu"! — politykę demokracji żydowskiej, opartą na współpracy z masowymi ruchami ludu polskiego.

Jeśli w dodatku się zważy, że wyrostki rewizjonistyczne na komendę swych przełożonych wprowadzają do wewnętrznego życia żydowskiego system terroru i pogromów (w ciągu jednego miesiąca: pogromy w warszawskim Wydziale Palestyńskim, w biurze Agencji Żydowskiej w Jerozolimie, w biurze syjonistycznym w Czerniowcach, akty terroru wobec I. Grünbauma w Warszawie i Arnolda Zweiga w Haifie, zerwanie kilkunastu zgromadzeń syjonistycznych) — jasne się stanie, dlaczego rewizjonizm otoczony jest w społeczeństwie żydowskim murem nienawiści i pogardy; dlaczego stracił w oczach wielu myślących Żydów charakter partii żydowskiej; dlaczego w publicystyce naszej padła wobec niego najstraszliwsza obelga: „żydowski O. N. R.".

K I N O

„PENNY" ATLANTIC.

Prawdziwie amerykańska historia o pięknej pannie, polującej na bogatego męża, o jej zachłannej, wyzbytej skrupułów matce, podtatusiałym milionerze, idącym na lep słodkich słówek — no i jego trzech uroczych córeczkach, które starają się go ochronić przed małżeństwem. Po wielu perypetiach i przygodach, pełnych łez i śmiechu, wszystko kończy się happy end'em; starzejący się, a przecież wiecznie młody papa, wraca do opuszczonej przed 10-ciu laty żony, dwie z miłych siostrzyczek znajdują sobie równie miłych chłopców, a trzecia, najmłodsza i najmilsza — Penny, uszczęśliwiona i dumna z przywróconej dzięki jej pomocy szczęścia rodzinnego — przesyła z ekranu swój najczarowniejszy, najpromienniejszy, pomieszany z łzami uśmiech.

Reżyseria Kostera i Pasternaka nie wnosi nic nowego, ale jej gładkość i potoczystość utrzymuje film w atmosferze świeżej i radosnej, tak bardzo odpowiadającej trzem wiośnianym bohaterkom.

Debiutująca w tym filmie Deanna Durbin, miła, wdzięczna, pełna temperamentu, o przyjemnym, dźwięcznym głosie — jest bezwzględnie dobrym nabytkiem.

Nadprogram — doskonały zespół muzyczny Dave Apollona na falach swej muzyki w dowcipny sposób przenosi nas do różnych części świata.

„PIĘTRO WYŻEJ" RIALTO.

Pierwsza dobra, naprawdę dobra komedia polska. Leon Tristan pokazał, że nie trzeba sięgać do zużytych, operetkowych tematów, o milionerach, przebranych za lokajów, a pokojówkach za księżniczki, aby stworzyć sytuacje naprawdę dowcipne i pełne niefałszowanego humoru. Swojska atmosfera w jakiej akcja filmu się rozgrywa (Polskie Radio i jego kulisy), zabawny konflikt pomiędzy dwoma panami Pączek, stanowią przemiłe tło dla całego filmu. Reżyserja, od początku do końca staranna, w najdrobniejszych szczegółach wykończona, tempo wartkie. Film, pełen prawdziwie komediowego nerwu — obfituje w niejedną scenę wręcz doskonałą (historia z gęsią, audycja radiowa zespołów obu panów Pączków i t. d.).

Bodo — znowu miły, pełen werwy i humoru, odrzucił — na szczęście — ogarniającą go w ostatnich filmach manierę, Grossówna w zupełności spełnia pokładane w niej nadzieje. Pod dobrym kierunkiem artystka ta o wybitnie komediowym zacięciu, mogłaby w niedługim czasie stanąć w jednym szeregu z najlepszymi komediowymi aktorkami Ameryki.

Nadprogram przemiła kreskówka Fleischera „Jak w raju". T. S.

P r e n u m e r a t a: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM — Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. — Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa